

ZOFIA NAŁKOWSKA

MEDALIONY

PROFESOR SPANNER

1

Tego rana byliśmy tam po raz drugi. Dzień był pogodny, majowy, chłodnawy. Wiatr od morza szedł rzeński, coś sprzed lat przypominał. Za drzewami szerokiej, wyasfaltowanej alei stał mur ogrodzenia, za nim ciągnął się rozległy dziedziniec. Wiedzieliśmy już, co przyjdzie nam zobaczyć.

Tym razem towarzyszyło nam dwóch starszych panów. Ci przyszedli w charakterze „kolegów” Spannera - obaj profesorowie, obaj lekarze i uczeni. Jeden wysoki, siwy, o twarzy szczupłej i szlachetnej, drugi równie duży, ale przy tym tęgi i ciężki. Jego pełna twarz wyrażała dobroduszość i jakby zatroskanie.

Ubrani byli dość podobnie i nie po naszemu, raczej prowincjonalnie - w czarne, długie wiosenne palta z dobrej wełny. Na głowach mieli miękkie, również czarne kapelusze.

Skromny, nietynkowany domek z cegły stał w rogu podwórza, na uboczu, jako nieważny pawilon dużego gmachu, w którym mieścił się Instytut Anatomiczny.

Naprzód zeszedliśmy do rozległej, ciemnej piwnicy. W pochyłym świetle, idącym od dalekich, wysoko umieszczonych okien, umarli leżeli jak wczoraj. Ich ciała, nagie, białokremowe, młode, podobne do twardych rzeźb, były w doskonałym stanie, mimo że czekały tu już od szeregu miesięcy na chwilę, w której wreszcie przestaną być potrzebne.

Leżeli jak w sarkofagach, w cementowych, długich basenach z uniesionymi pokrywami - wzdłuż, jedni na drugich. Mieli ręce opuszczone wzdłuż ciała, nie złożone na piersiach według pogrzebowego rytuału. A głowy odcięte od torsów tak równo, jakby byli z kamienia.

W jednym z tych sarkofagów leżał na stosie umarłych znany już „marynarz” bez głowy - młodzieniec wspaniały, wielki jak gladiator. Na jego piersi szerokiej wytatuowany był kontur statku. Poprzez zarysy dwóch kominów przechodził napis wiary daremnej: *Bóg z nami*.

Mijaliśmy jeden za drugim baseny pełne trupów, a obaj cudzoziemscy panowie szli także i także patrzyli. Byli lekarzami i lepiej od nas rozumieli, co to znaczy. Na potrzeby Instytutu Anatomicznego przy uniwersytecie wystarczyłby zapas czternastu trupów. Tu było ich trzysta pięćdziesiąt.

Dwie kadzie zawierały same głowy bezwłose, odcięte od tamtych ciał. Leżały jedne

na drugich - twarze człowiecze, niby zesypane do dołu ziemniaki - jak popadło; jedne bokiem, jak się leży na poduszce, inne obrócone w dół albo na wznak-. Były żółtawe i gładkie, też świetnie zakonserwowane, też równiutko od karku odcięte, jak z kamienia.

W rogu jednej kadzi spoczywała na wznak ta nieduża, kremowa twarz chłopca, który umierając mógł mieć osiemnaście lat. Lekko skośne, ciemne oczy nie były zamknięte, tylko zaledwie spuszczone. Pełne usta, barwy tej samej co twarz, przybrały wyraz cierpliwego, smutnego uśmiechu. Brwi równe i wyraźne unosiły się ku skroniom jakby z niedowierzaniem. Oczekiwał w tej najdziwniejszej, przechodzącej jego pojęcie sytuacji na ostateczne orzeczenie świata.

Dalej były znowu baseny z umarłymi, a później kadzie z ludźmi przeciętymi na pół, pokrajnymi na części i odartymi ze skóry. W jednym tylko basenie leżały osobno i daleko nieliczne zwłoki kobiet.

Poza tym w podziemiu obejrzelśmy jeszcze parę basenów pustych, zaledwie wykończonych, bez pokryw. Oznaczały, że zapas trupów, potrzebnych żyjącym, był niedostateczny, że istniał zamiar powiększenia całej imprezy.

Później z obu profesorami przeszliśmy do czerwonego domku i tam widzieliśmy na wyiębłym palenisku ogromny kocioł, pełen ciemnej cieczy. Ktoś obyty z terenem uchylił pokrywę i pogrzebaczem wyciągnął na wierzch ociekający płynem, wygotowany tors człowieczy, odarty ze skóry.

W dwóch innych kotłach nie było nic. Ale w pobliżu, na półkach oszklonej szafy, leżały rzędem wygotowane czaszki i piszczele.

Widzieliśmy też skrzynię, a w niej ułożone warstwami oczyszczone z tłuszczu, spreparowane cienko płyty skóry ludzkiej. Na półce słoje z sodą kaustyczną, przy ścianie wmontowany w mur kocioł z zaprawą i duży piec do spalania odpadków i kości.

Wreszcie na wysokim stole kawałki mydła białawego i chropowatego i parę metalowych, powalanych zeschniętym mydłem foremek.

Nie wchodziliśmy już tym razem na strych po drabinie, by oglądać tam zalegające wysoko polepę zypisko czaszek i kości. Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę w tej części dziedzińca, gdzie widać ślady spalonych całkowicie trzech budynków, szczątki pieców metalowych typu krematoryjnego i bardzo licznych rur i przewodów. Wiadomo, że i czerwony domek podpalono już dwukrotnie. Za każdym razem jednak powstający pożar został dostrzeżony i ugaszony.

Wyszliśmy razem z profesorami, którzy od razu odłączyli się od nas i prowadzeni przez kogoś nieznajomego udali się w swoją drogę.

Przed Komisją zeznaje człowiek młody, chudy i blady, o wyraźnych oczach niebieskich, przyprowadzony na badanie z więzienia. Nie mający pojęcia, czego od niego chcemy.

Mówi z namysłem, poważnie i smutnie. Mówi jednak po polsku, tylko z akcentem obcym, cokolwiek grasejując.

Mówi, że jest gdańszczaninem. Był w szkole powszechnej, później skończył jeszcze sześć klas i zrobił maturę. Był ochotnikiem, był harcerzem. Na wojnie dostał się do niewoli i uciekł. Pracował na ulicy przy śniegu, potem w fabryce amunicji. Też uciekł. Rzecz na ogół dzieje się w Gdańsku.

Niemiec zamieszkał u jego matki, gdy ojca zabrali do obozu koncentracyjnego. Ten Niemiec dał mu pracę w tutejszym Instytucie Anatomicznym. I tak dostał się do profesora Spannera.

Profesor Spanner pisał książkę o anatomii i wziął go na preparatora trupów. W uniwersytecie miał wykłady, taki kurs preparatorski dla studentów. Wydawał swoją książkę, dla tej książki pracował. Jego zastępca, profesor Wohlmahn, też pracował - jednak nie może powiedzieć, czy dla jakiejś książki, czy tak...

Ta oficyna była wykończona w roku 1943 na Palarnię. Spanner wtedy postarał się o maszyny do oddzielania mięsa i tłuszczu od kości. Z kości miały być robione kościotrupy. W roku 1944 profesor Spanner kazał, żeby studenci odkładali tłuszcz z trupów osobno. Co wieczór po skończeniu kursów, jak studenci odeszli, robotnicy zabierali talerze z tłuszczem. Były też talerze z żyłami i z mięsem. Więc mięso wyrzucali albo palili. Ale ludzie w mieście skarżyli się policji, więc wtedy profesor kazał, żeby palili w nocy, bo za duży smród był.

Studenci mieli także powiedziane, żeby skórę całkiem czyściutko już odjąć, później tłuszcz czysto, później według książki preparatorskiej muskuły aż do kości. Tłuszcz wybierany przez robotników z talerzy później został leżeć całą zimę, a później, jak studenci wyjeżdżali, był przez pięć - sześć dni wyrobiony na mydło.

Profesor Spanner zbierał również skórę ludzką. Mieli ją ze starszym preparatorem von Bergen wyprawiać i coś z niej robić.

- Starszy preparator von Bergen - to był mój bezpośredni przełożony. Zastępcą profesora Spannera był doktor Wohlmann. Profesor Spanner był cywil, ale zgłosił się do SS jako lekarz.

Gdzie jest teraz doktor Spanner, więzień nie wie.

- Spanner odjechał w styczniu 1945 roku. Jak odjeżdżał, kazał nam tłuszcz zbierany w semestrze dalej wypracować, kazał nam porządnie mydło i anatomię robić i sprzątać, żeby ludzko wyglądało. Receptu nie kazał sprzątać, może zapomniał. Mówił, że wróci, ale już nie wrócił. Poczte, jak wyjechał, posyłali mu do Halle an der Saale, Anatomisches Institut.

Siedzi, zeznając, na krześle pod ścianą, naprzeciwko okien, w świetle. Jest całkowicie widoczny - w swych zastanowieniach i namysłach, w usilnej chęci, aby dokładnie powiedzieć wszystko, jak było, by nie opuścić nic. On jest jeden, a nas jest osób kilkanaście: członkowie Komisji, miejscowe władze, sadownicy.

Nadmiar gorliwości sprawia, że niekiedy bywa niejasny.

- Co to jest recept?

- Recept wisiał na ścianie. Asystentka, która była ze wsi, przywiozła stamtąd recept na mydło i wypisała. Nazywała się Koitek. Asystentka techniczna. Ona też wyjechała, ale do Berlina. Oprócz receptu była jeszcze notatka na ścianie. To napisał von Bergen. Ona dotyczyła zupełnego oczyszczenia kości do wyrobu kościotrupów. Ale kości się nie udały, zniszczyły się. Albo była za duża temperatura, albo za silny płyn - zatroszczył się jeszcze tym dawnym kłopotem.

- Mydło z receptu zawsze się udało. Tylko raz się nie udało. To ostatnie, co leżało w Palarni na stole, ono nie jest udane.

Produkcja mydła odbywała się w Palarni. Kierował produkcją sam doktor Spanner ze starszym preparatorem von Bergen. Z tym, co jeździł po trupy. Czy jeździłem z nim? Tak jest. Jechałem tylko dwa razy. I do więzienia w Gdańsku też raz.

Trupy przywozili naprzód z domu wariackiego, ale później nie starczyło tych trupów. Wtedy Spanner rozpisał wszędzie do burmistrzów, żeby trupów nie grzebać, tylko że przyśle po zwłoki Instytut. Przywozili ze Stutthoffu z obozu, z Królewca na śmierć skazanych, z Elbląga, z całego Pomorza. Dopiero jak w gdańskim więzieniu wystawili gilotynę, to już było dosyć trupów...

Przeważnie to były trupy polskie. Ale raz byli i wojskowi niemieccy, ścięci w więzieniu podczas uroczystości. A raz przywieźli cztery czy pięć trupów i nazwisko było rosyjskie.

Trupy von Bergen przywoził zawsze w nocy.

- Co to była za uroczystość?

- Uroczystość była w więzieniu. Poświęcenie gilotyny. Zaproszony był szef Spanner i różni goście. Szef wziął starszego preparatora von Bergen i mnie. Dlaczego mnie wziął, nie wiem, bo nie byłem zaproszony. Goście przyjechali autami i przyszli piechotą. Weszli do tej

sali. Ale my tam nie weszliśmy, tylko musieliśmy czekać. Myśmy już oglądali gilotyne i szubienicę do wieszania. To wtedy byli ci czterej wojskowi niemieccy skazani na śmierć. I podobno święcił ksiądz niemiecki.

Widziałem, jak wpuścili jednego więźnia. Kajdanki miał z tyłu, boso, czarne nogi, tylko spodnie, a tak był nagi.

Była fioletowa zasłona, za nią drugi pokój i prokurator. Starszy preparator rozmawiał później z katem i opowiadał. Więc słyszeli mowę prokuratora, szum, jakieś rozciąganie, tupanie - jakby ktoś biegał. I uderzyło żelazo. Kat meldował, że wyrok wykonany. A my już widzieliśmy, jak czterech trupów wynieśli w trumnie otwartej.

Czy to był ksiądz przy tym poświęceniu, ja nie wiem. Ale mówili, że jeden wojskowy w mundurze to był ksiądz.

Na jeden raz to z tego więzienia von Bergen przywieźli z Wohlmannem sto trupów.

Ale później Spanner chciał trupów z głowami. Nie chciał też rozstrzelanych, za dużo koło nich było roboty, zawsze zaśmiardły. Jeden na przykład niemiecki wojskowy przyszedł skazany na śmierć. Ten miał nogę złamaną i przestrzeloną. A był też i bez głowy. Wszystko naraz. Z zakładu wariackiego to były trupy z głowami.

Spanner chował zawsze trupy na zapas. Bo jak później było za mało trupów, więc wtedy już musiał brać trupów bez głów.

Ten wielki marynarz bez głowy jest z gdańskiego więzienia. Trupy przecięte wpół są dlatego, że całe nie chciały wejść do kotła, nie chciały się zmieścić.

Człowiek jeden da tłuszczu może z pięć kilogramów. Tłuszcz przechowywał się w Palarni w basenie kamiennym. Ile?

Myśli długo, chce być jak najbardziej dokładny.

- Jeden i pół cetnara.

Zaraz jednak dodaje:

- Tak było dawniej. Ale ostatnim razem było mniej. Jak już zaczęli cofać się do Rzeszy - to był może jeden cetnar...

O produkcji mydła miał nikt nie wiedzieć. Spanner zabronił mówić nawet studentom. Ale oni tam zaglądali, potem może jeden drugiemu powiedział, więc chyba wiedzieli... A nawet raz tak było, że do Palarni zawołali czterech studentów i z nimi razem gotowali. Ale na co dzień dostęp do produkcji miał szef, starszy preparator, ja i dwóch robotników, Niemców. Mydło gotowe brał doktor Spanner i on nim dysponował.

- Mydło gotowe?... No, jak się robi - ono naprzód jest miękkie, no to musiało ostygnąć. Wtedy musieliśmy pokrajać... I Spanner zamknął mydło na klucz. Tam było nie

samo mydło, maszyna tam stała. Chodziliśmy w pięciu. A inni musieli prosić o klucz, gdy chcieli wejść.

- Dlaczego to był sekret?

Nad tym zastanawia się dłużej. Pragnie odpowiedzieć wedle najlepszej swej wiedzy.

- Może się Spanner bał albo co... - rozważa w skupieniu. - Moja myśl jest taka, że gdyby się ktoś dowiedział cywilny w mieście, to może by był z tego jakiś bałagan...

Mogło się здаwać, że i tu rozwieszona jest między nami a nim jakaś „fioletowa zasłona”. Nie było na niego sposobu. I ktoś zapytał wreszcie:

- Czy nikt wam nie powiedział, że robienie mydła z tłuszczu ludzkiego jest przestępstwem?

Odparł z zupełną szczerością:

- Tego mi nikt nie powiedział.

To jednak daje mu do myślenia. Nie od razu odpowiada na dalsze pytania. Wreszcie robi to bez niechęci.

- Owszem, przyjeżdżali różni do Instytutu i do Spannera. Profesor Klotz, Schmidt, Rossmann do niego przyjeżdżali. Był raz minister zdrowia w Instytucie Higieny i minister oświaty, też był gauleiter Forste. Jako rektor całej Akademii Medycznej przyjmował ich profesor Grossmann. Niektórzy byli, jak ten dom jeszcze nie stał, więc oni zwiedzali tylko Anatomie, badając, jaka jest Anatomia, czy czego może brak. A chociaż już była Palarnia - no, to mydło zostało zawsze po czterech, pięciu dniach sprzątane. Nie mogę mówić, czy widzieli to mydło. Mogli widzieć. I w czasie inspekcji recept zawsze wisiał. Więc jak czytali, to chyba wiedzieli, co tam gotują.

- Tak, szef kazał mnie robić to mydło z robotnikami. Dlaczego mnie? Nie wiem. O Spannerze, jak tak zamykał mydło, to sam myślałem, że on robi jakieś szaberstwo. Gdyby miał pisać w swojej książce o mydle, toby nam tak nie zabronił o tym mówić. Może on sam przyszedł na tę ideę, żeby robić mydło z resztek?... Chyba nie dostał na to polecenia, bo wtedy by się nie musiał sam starać o recept...

Z tych rozważań nie wynika żadna pewność.

- Co studenci?... Tak jak my. Każdy się bał tym mydłem myć na początku... Obrzydzenie było do tego mydła. Zapach miało niedobry. Profesor Spanner bardzo się starał, żeby ten zapach ustał. On pisał do chemicznych zakładów, żeby przysyłali olejki. Ale zawsze czuć było, że to nie takie mydło.

- Owszem, mówiłem w domu... Z początku nawet jeden kolega widział: miałem dreszcz, że można się tym myć. W domu mama też się obrzydzała. Ale się dobrze mydliło,

więc go używała do prania. Ja się przyzwyczailem, bo było dobre...

Na jego chudej, wybladłej twarzy pojawia się wyrozumiały uśmiech.

- W Niemczech, można powiedzieć, ludzie umieją coś zrobić - z niczego...

3

Po południu wezwaliśmy obu starych profesorów-lekarzy, kolegów Spannera, na przesłuchanie. Rozmowy odbyły się w obrębie terenu ich pracy, w pustej salce jednego z gmachów szpitalnych.

Obaj - badani z osobna - oświadczyli, że o istnieniu budynku mieszczącego ukrytą fabrykę mydła nie było im nic wiadomo. Oglądali ją tego rana po raz pierwszy i widok ten wywarł na nich wstrząsające wrażenie.

Obaj - badani z osobna - oświadczyli, że Spanner, człowiek najwyżej czterdziestoletni, był w zakresie anatomii patologicznej powagą naukową. O jego stronie moralnej nie mogli nic powiedzieć, znając go od niedawna i rzadko widując. Wiedzieli tylko, że należał do partii.

Każdy zeznając siedział z dala od nas na odosobnionym krześle, z wyraźnym przygnębieniem na twarzy. Każdy siedział nie zdjawszy swego czarnego palta, czarny kapelusz przytrzymując ręką na kolanach.

Obaj mówili roztropnie i z ostrożnością. Obaj, mówiąc, wszystko brali pod uwagę. Gdańsk o tej majowej porze był jeszcze pełen Niemców, ulicami przeciągały zastępy jeńców niemieckich, obsypywanych kwiatami przez ich kobiety. Ale władze były polskie, a w garnizonie stały wojska sowieckie.

Na zapytanie, czy znając Spannera z jego działalności naukowej mogli byli przypuścić, iż jest to człowiek zdolny do wyrabiania mydła z ciał umarłych skazańców i jeńców, każdy jednak odpowiedział inaczej.

Ten wysoki i szczupły, o siwej głowie i rysach szlachetnych, po dłuższym namyśle oświadczył:

- Tak, mogłem być to przypuścić, gdybym wiedział, że taki otrzymał rozkaz. Było bowiem wiadomo, że był karnym członkiem partii.

Drugi - ten tłusty, ciężki i dobroduszny, o cerze różowej i wiszących policzkach - także namyślał się długo. I po namyśle - wszystko niejako zważywszy w swym sumieniu - odpowiedział:

- Owszem, mogłem to przypuścić. Z tego mianowicie powodu, że Niemcy przeżywały wówczas wielki brak tłuszczów. Więc wzgląd na stan ekonomiczny kraju, na dobro państwa

mógł go do tego skłonić.

DNO

To co pani naprzód opowiedzieć? - zastanawia się przez chwilę. - Sama nie wiem.

Jest siwa, raczej ładna, zaokrąglona i miękka. Jest bardzo zmęczona. Przeszła takie rzeczy, w które nikt by nie uwierzył. I ona sama nie uwierzyłaby także, gdyby nie to, że to jest prawda.

O nic jej nie chodzi, tylko o życzliwość. O to, żeby ludzie byli dla niej życzliwi, bo dużo przeszła i jest matką, która straciła dwoje dzieci. Nie wie na pewno, czy umarli. Ale od dawna nic nie wiadomo, co z nimi jest.

Syn dotąd nie wrócił z niewoli. A ci koledzy, którzy wracają; mówią, że go nie widzieli. A córka...

To jest daleko cięższa sprawa, od której zawlekają się łzami jej łagodne, szare, duże oczy. Łatwo jej o te łzy, które występują, a później nikną nie spływając wcale na policzki.

O mężu też nic nie wie. Ostatni raz ludzie widzieli go w obozie w Pruszkowie. Ale to był już starszy człowiek. Starszy, chociaż od niej młodszy o trzy lata.

Jest zupełnie sama i ludzie powinni by mieć dla niej jakąś życzliwość. Starsi, co ją tu pamiętają, owszem. Ale młodzi o tym tylko myślą, by im nie weszła w drogę.

- To co pani naprzód opowiedzieć? - powtarza przymykając oczy ze zmęczenia. - W Ravensbrück nas, owszem, męczyli. Znęcali się zastrzykami, wyrabiali na kobietach praktyki, otwierali rany... I to ich doktorzy robili, inteligencja. Ale tam byłyśmy niedługo, tylko trzy tygodnie. Stamtąd zabrali nas do innego lagru, do fabryki amunicji.

- Córka też. Owszem. Właśnie wszędzie byłam z córką. Razem nas od pierwszej chwili zaaresztowali. Aż dopiero wracając zgubiłyśmy się w drodze. Zatrzymali ją i jeszcze parę dziewcząt zatrzymali. Może było z dziesięć tych dziewcząt...

Mówi głosem przyciszonym mnóstwo słów szybkich, drobnych, sypiących się łatwo i smutno. Wspomnień o córce jest dużo. Była dobra, była ładna, była zdolna. Uczyła dzieci, należała do organizacji. Syn także. Bały się zawsze, gdy wracał późno do domu, długo po godzinie policyjnej. Rzucił piaskiem o szybę, spuszczały mu sznur i tak wchodził przez okno, żeby się dozorca nie dowiedział. Drżała ze strachu, że ktoś wreszcie musi to zobaczyć, że to się wyda.

Jego też wzięli, ale nie razem z nimi. Jego wzięli z powstania. Ostatnią kartę napisał w styczniu do rodziny. O matce i siostrze wiedział, że już dawno są w Niemczech.

- Przed obozem byłyśmy dwa miesiące na Pawiaku. Co tam wyprawiali, jakie robili

zbrodnie na ludziach! Zastrzyki, ściąganie krwi dla żołnierzy - i dopiero wieszali albo brali na rozstrzał. Nigdy nie wzięli zdrowego człowieka na rozstrzał, tylko z nim przedtem wszystko zrobili.

Jest widoczne, że wiele przemilcza.

- Wiem, bo u nas w kuchni gotowali mężczyźni, to nam opowiadali. Mówili też o tych szcurach... Więźniowie sami musieli rano wynosić trupy z pakamery. Miały ręce i nogi związane, wyjedzone wnętrzności. Niektórym jeszcze biło serce.

Znów pomyślała o czymś, czego nie mogła powiedzieć. Nieznaczną zmarszczką rysowała się na jej gładkim czole od tego wewnętrznego widzenia.

- Mnie tak nie męczyli, tyle tylko, że mnie bardzo bili - rzekła wreszcie.

I znów posypały się jej przyciszone, szybkie, drobne słowa.

- Strasznie mnie bili, żebym powiedziała, kto przychodził, co tam u mnie robili, kiedy niby to była lekcja tańca i moja córka grała na fortepianie. Bili mnie gumową pałką... Jak zasłoniłam twarz rękami, to mi tą pałką wybili palce - o tu, jeszcze widać. Jak co robię, to mię tu jeszcze boli.

Pokazywała ręce z guzami, pulchne, nieduże ręce, zniszczone twardą pracą.

- Strasznie się bałam, że coś powiem, jak mnie za bardzo bolało, jak mi się robiło mdło. Ale jakoś sobie postanowiłam, jakoś tak się zawzięłam i nie powiedziałam nic.

Westchnęła z ulgą i dodała poufnie:

- A oni u nas się uczyli i mieli kije zamiast karabinów. Mój syn ich uczył.

Otrząsnęła się. Tymi pulchnymi, zniekształconymi rękami przesunęła po oczach i powiedziała tak:

- A teraz pani opowiem, jak byliśmy w tej fabryce amunicji. Tam miałyśmy co dzień dwanaście godzin pracy przy maszynach.

Spałyśmy w lagrze. Ten nowy lagier nazywał się jakby Bunzig. Stamtąd było przeszło dwie wiorsty do fabryki. Budzili nas o trzeciej w nocy, nie było światła, po ciemku słałyśmy łóżka, piłyśmy czarną kawę bez cukru i jadłyśmy prędko ten chleb. Od czwartej do wpół do szóstej był apel na dworze. Zimno, deszcz albo śnieg, wszystko jedno. Potem było pół godziny drogi do fabryki, tak żeby zdążyć na szóstą. Obiad dawali nam w fabryce. To była zupa z liści czy czegoś, nie umiem wytłumaczyć - brukiew suszona czy coś takiego. Rano i wieczór czarna kawa bez cukru i do tego dziesięć deka chleba na cały dzień. Naprzód dawali piętnaście deka, a później już tylko dziesięć - no, to był taki kawałek. Więc byliśmy wciąż głodne. Straszny był głód.

Przeważnie robiłyśmy kule do dział, do samolotów i przeciwlotnicze. To była ciężka

praca, ciągle w dymie i gorącu. Jak która nie wyrobiła swojej ilości, to byłyśmy katowane.

- Jak? Proszę pani, w tym lagrze były bunkry - tak osobno, z daleka. Bardzo zimne, trochę w ziemi, jak piwnica. Jeżeli która źle posłała łożko albo kubek po kawie źle umyła, bo nie było wody i było przecież ciemno - wtedy musiała iść do bunkru. Albo musiała stać dwanaście godzin na mrozie czy na deszczu. Gestapówki chodziły, pilnowały i śmiały się z nas, że marzniemy. Jakaśmy się do siebie przyciskały dla ciepła - to biły albo wyznaczały za karę bunkier. Więc trzeba było stać na tym zimnie daleko jedna od drugiej. Sukienki miałyśmy letnie - nie nasze, nie. Nasze nam odebrali. Były i pasiaki, były i takie zwyczajne, rękawy do łokci, gołe nogi. Na plecach miałyśmy naszyte krzyże na ukos.

Przez ten czas dwa razy golili mi głowę do skóry i tak musiałam iść na mróz. Nic nie wolno było włożyć na głowę, zaraz bili. Chodaki nam dali drewniane. Tylko na palcach było przybite trochę płótna papierowego, żeby się trzymały. Takie miałyśmy sine nogi, Boże kochany, jakby kto farbką pomalował.

To zimno to strasznie było wytrzymać. I po drodze, i w fabryce przy maszynach słabsze wszystkie umierały. Trupy składali tam do bunkrów. I do tych samych bunkrów właśnie zamykali za każde najmniejsze przewinienie, jeść nie dali, nie pozwolili się niczym okryć, całą noc na gołej ziemi. Dopiero rano wołali na apel, a po apelu znów do bunkru, bez żadnego jedzenia. Jeść im nie wolno było podać, stały na apelu osobno, żeby się która z nimi chlebem nie podzieliła. Esmanki bardzo tego pilnowały... Zawahała się, zamyśliła. Znów tu coś trudne było do powiedzenia.

- Jednak coś jadły - powiedziała ciszej. - Raz jedna ruszała ustami. I jedna miała zakrwawione paznokcie. Proszę pani, to było strasznie karane! Ale one tam w nocy jadły mięso z tych trupów!

Teraz zamilkła na dłuższą chwilę. Namysliła się, jakby coś jeszcze chciała dodać. Ale nie mogła. Otrząsnęła się.

- Esmanki były zadowolone, jak myśmy umierały - ciągnęła pewniejszym głosem, jakby przezwyciężyła pokusę. - Kiedy kobiety umierały stojąc na apelu i przewracały się na ziemię, esmanki nie wierzyły, śmiały się, kopały je, że udają. Kopały je, gdy one nieraz od kwadransa już nie żyły. Trzeba było tak stać obok, nie wolno było się ruszać, nie wolno było dać żadnej pomocy, nic.

Jak która zachorowała, to też mówiły, że udaje. Też wrzucały do bunkru, żeby tam przy trupach umierała. A mężczyźni mieli jeszcze gorsze bunkry, całe pod ziemią. Musieli tam stać na ten ziąb po kolana w wodzie.

Siedziała bez ruchu, namysliła się, co by jeszcze powiedzieć. I nagle się ożywiła.

- Jeszcze pani coś powiem, to będzie ciekawe. Jak nas, proszę pani, wzięli wtedy z Pawiaka (to bardzo ciekawe będzie) - to nam dali po bochenku chleba i pojechaliśmy do Ravensbrück w wagonach bydłowych. Po sto nas załadowali do wagonu, jedna ciasno stała koło drugiej.

Ani wody, ani możliwości wyjścia, wszystko tak na stojąco, po nogach. I tak spałyśmy na stojąco, nie mogłyśmy usiąść z samej ciasnoty. I tak jechaliśmy siedem dni.

Po drodze nas postawili na bocznym torze. Pociąg stał trzy godziny. Wtedy zaczęłyśmy wszystkie wyć do wody nieludzkimi głosami. Bo wieźli nas w tym zaplombowanym wagonie w upał, mokre od potu, czarne na twarzy od kurzu, ubranie na nas śmierdziało, nogi miałyśmy ubrane w gnoju. Więc zaczęłyśmy wyć jak zwierzęta.

Wtedy przyszedł niemiecki oficer od drugiego pociągu, który wiozł rannych żołnierzy, i kazał wagon otworzyć. Ale nas konwojowali Ukraińcy. I powiedzieli, że nie wolno, że to jadą bandyci. Wtedy on zawołał drugich oficerów, bo był ciekawy, co tam jest. Odplombowali wagon i wtedy nas zobaczył.

Proszę pani! Jak nas zobaczył, jego oczy zrobiły się okrągłe, ręce o tak rozcapierzył ze strachu. Tak się nas przeląkł! Wyglądał jak dzik!

Dopiero za jakiś czas zapytał się, czy która mówi po niemiecku czy po francusku. Wiele mówiło. No więc wtedy kazał nam przynieść wody i wypuścić nas na tor, żebyśmy się oporządziły. Natychmiast też kazał otworzyć męskie wagony. Ale tam było gorzej. Bo nas było tylko tysiąc pięćset kobiet, a mówili, że mężczyzn było ze cztery tysiące. Więc w każdym wagonie było ich po trzydziestu, po czterdziestu uduszonych na śmierć!

Uspokoila się, już to najciekawsze powiedziawszy. Głosem znużonym, cicho kończyła swoje opowiadanie.

- Wtedy nas znów zaplombowali i do samego Ravensbrück już nas nikt nie otworzył. Żadna się nie udusiła, ale kilka zwariowało. Czy wyzdrowiały później? Nie. Nie wyzdrowiały. Zaraz pierwszego dnia je w Ravensbrück rozstrzelali.

Jak zwariowały, to rzucały się na nas, gryzły nas i szarpały. Jedna między nimi, która nic nie powiedziała na Pawiaku przy najgorszym badaniu, teraz krzyczała na głos nazwiska ludzi, wymieniała miejsca, gdzie jest zakopana broń w skrzyniach, w jakim lesie, na skrzyżowaniu dróg, w jakiej wsi. Mówiła, co tylko mogła sobie przypomnieć. Takeśmy się bały, że wszystkich zgubi. Ale oni już tego nie słuchali, tylko je jedną po drugiej zastrzelili.

Posmutniała.

- Strach mi, że nie zapamiętałam, jak się nazywały. Bo tam były wartościowe, zasłużone kobiety. Może ich teraz szuka rodzina, jak ja szukam moich dzieci. A ja nie mogę

sobie przypomnieć, kto to był.

Widzi pani, widzi pani! Nawet Niemiec, i to się przeląkł, jak nas zobaczył. Cóż to dziwnego, że one nie mogły wytrzymać.

KOBIETA CMENTARNA

Droga do cmentarza prowadzi przez miasto pod tamtym murem. Wszystkie okna i balkony - dawniej pełne uwieczonych, stłoczonych ludzi, wyglądających na świat zza muru - są bezludne. W przejeździe już od dawna widać na jakimś drugim piętrze to samo okno zawsze otwarte, a za nim obwisły gzyms z poczerniałą firanką, suchy kwiat w doniczce i też zawsze otwarte drzwiczki od taniego kredensu, stojącego pod ścianą pokoju.

Mijają miesiące i nikt nie podnosi gzymsu ani drzwiczek od kredensu nie zamyka.

Droga na cmentarz powoli z miejsca żywych zamienia się na miejsce umarłych. Ale, objęte pustą architektoniczną ramą, to miejsce jeszcze nie całkiem wyjęte jest z obrębu życia. Bo oto słychać i oto widać.

Ponad najświeższą, młodziutką zielenią cmentarnych drzew - czarnymi chmurami występują ku górze kłęby dymu. Czasami przesywa je długi płomień, jak wąska, czerwona, szybko migocząca szarfa na wietrze. Ponad wszystkim idzie przez niebo dalekie mruczenie aeroplanów.

Mijają miesiące i to nie zmienia się, to trwa.

Zewsząd nadchodzą wiadomości o zgonach. Umarł P. w obozie, umarła K. na jakiejś małej stacji kolejowej, schwyta na ulicy i wywieziona. Ludzie giną na wszelkie sposoby, wedle wszelkich kluczków, pod każdym pretekstem. Wydaje się, że nie żyją już wszyscy, że nie ma się przy czym upierać, nie ma przy czym obstawać. Tyle jest wszędzie tej śmierci. W podziemiach kaplic cmentarnych trumny stoją rzędami i oczekują niejako w ogonku na czas swego pogrzebu. Śmierć zwyczajna, osobista, wobec ogromu śmierci zbiorowej wydaje się czymś niewłaściwym. Ale rzeczą bardziej wstydliwą jest żyć.

Nic z dawnego świata nie jest prawdziwe, nic nie zostało. Ludziom dane jest przeżywać rzeczy niejako ponad stan. Przerazenie staje pomiędzy nimi i odgradza ich od siebie. Jeden dla drugiego o każdej chwili staje się sposobnością do śmierci.

Rzeczywistość jest do wytrzymania, gdyż niecała dana jest w doświadczeniu. Albo dana niejednocześnie. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji, w echem wystrzałów, w dalekich dymach rozplywających się po niebie, w pożarach, o których historia mówi, że „obracają w perzynę”, chociaż nikt nie rozumie tych słów. Ta rzeczywistość, daleka i zarazem rozgrywająca się o ścianę, nie jest prawdziwa. Dopiero myśl o niej usiłuje pozierać ją, unieruchomić i zrozumieć.

Idziemy jeszcze raz cmentarną aleją. Odbywa się teraz uroczysty raut wiosenny

umarłych. Umarłych dawno już i śmiercią zwyczajną.

Mówią tylko swoje imię i nazwisko, mówią datę, rzadziej przypominają zawód swój i godności. Niekiedy w przejściu proszą półgłosem o westchnienie do Boga. Jest to niewiele. Są tam zawsze na tych samych miejscach i mówią wciąż to samo, odzywają się powściągliwie, skrępowani swoim konwenansem. Chcą tak zupełnie mało, nie narzucają się, nie zobowiązują nas do niczego. Zaledwie przypominają się pamięci, wystarcza im odrobina uwagi.

Zachęty dodaje niekiedy ktoś z najbliższej rodziny - niejako wprowadza i zarazem ośmiela. Jakaś bezimienna żona z dziećmi, „kładąca mężowi tę pamiątkę”, mówi kamiennym szeptem, że był najlepszy. Jakaś córka, ze swej strony od dawna już nieżyjąca, ślubuje zielonymi od mchu literami przywiązanie najukochańszej matce. -

Ten jeden grób jest bez krzyża. Na cokole brązowego pomnika wypisano niezrozumiałe dziś słowa:

...PATRZĄC Z WYSOKIEGO STANOWISKA EWOLUCJI
W NIESKOŃCZONĄ OTCHŁAŃ PRZYSZŁOŚCI,
DOSTRZEGAMY TAM
NIE ROZPACZLIWE MROKI WIECZNEJ ŚMIERCI,
LECZ ŻYWIĄCE BLASKI WIECZNEGO I WCIAŻ POTEŹNEGO ŻYCIA.

Szpalerem umarłych nadciąga w tę stronę kobieta pielęgnująca kwiaty na grobach. Ma w rękach emblematy swej godności: miotłę i polewaczkę. Polewaczkę ustawia na płaskim kamieniu przy studni żelaznej i pompuje do niej wodę.

Na tym miejscu, już bliskim ogrodzenia, cmentarz jest cały zatopiony zielenią, groby leżą jak krótkie zagonki granatowych albo żółtych bratków. Kwitną i pachną konwalie, już za chwilę kwitnąć będą bzy. W powietrzu zielonym woła wilga, jak wołała każdej wiosny tam, przy domu dzieciństwa. Myszka polna chodzi drobnutko między bratkami, wspina się na ich łodygi, coś zjada.

Na ciszę rozwartego szeroko nieba ponad cmentarzem co kwadrans wypływa od strony lotniska powolny aeroplan i zakreślając łagodny półokrąg odchodzi poza mury getta. Nie widać rzucanych w ciszy bomb. Ale śladami jego przelotu po dłuższej chwili podnoszą się długie, wąskie zwoje dymu. Później dają się też widzieć płomienie.

Kobieta cmentarna napełniła polewaczką i odchodzi z nią w stronę kwiatów. Jest to ta sama, z którą rozmawia się tu niekiedy o rzeczach śmierci.

W czasach grozy przychodzi się na cmentarz, jako na jedyne miejsce spokoju i bezpieczeństwa, jak do ogródka przy domu rodzinnym. Jak pod najpewniejszy o tamtym

czasie adres.

Zachwiała i tą swoją pewnością.

- Tutaj groby są lepsze - mówiła wtedy. - Tutaj groby są lepsze, bo tu jest sucho. Ciało leży i nie psuje się, tylko się wysusza. Tam na dołku, gdzie jest mokro, miejsca są tańsze. Tam tylko dwie trumny jedna na drugiej mogą leżeć.

Miała usposobienie łagodne i czułe. Przy tym była kompetentna, mogła zawsze służyć radą, a nawet pociechą. Była pełna i biała, niczym nie przejmowała się zanadto, na wszystko mając wyrozumienie.

- A tu jest wyżej - mówiła. - Tutaj jedną umarłą jak wykopali, to nic wcale nie była zmieniona. Mąż ją kazał wykopać. Była młoda kobieta i pochowana była w białej sukni. To i tę suknię miała na sobie całkiem białą. Jakby ją wczoraj pochowali.

Nie było zrozumiałe, czemu ją kazał wykopać. Wytłumaczyła to tak:

- Wykopal ją na sprawę, bo zaskarżył doktorów w szpitalu, że jej nie dopilnowali. Ona po urodzeniu pierwszego dziecka wyskoczyła przez okno i zabiła się na miejscu i nie było nad nią, jak się należy, opieki. Więc ją wykopali i zawieźli do szpitala na sekcję. A później przywieźli ją z powrotem i pochowali. Ale już nie miała na sobie białej sukni, tylko niebieską.

Pochowali ją, ale też nie na długo. Nie minęło trzech miesięcy, jak znowu wyjmowali trumnę.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ten mąż jej się powiesił i trzeba go było pochować. Pogłębili i wymurowali grób. I teraz tutaj leżą razem pochowani.

Jak właściwie skończyła się sprawa przeciw doktorom, też jasne nie jest. Widocznie jednak nie zaspokoila pretensji młodego małżonka, skoro ucieczki przed swym cierpieniem szukał w śmierci.

Później przyszedł czas, gdy na cmentarz spadały pociski. Posągi i medaliony potłuczone leżały wzdłuż alei. Groby z otwartymi wnętrzami ukazały w pękniętych trumnach swych umarłych.

Ale kobieta cmentarna wobec tej sprawy również zachowała wrodzony spokój. - Nic im nie będzie - powiedziała. - Nie umrą przecież drugi raz.

Teraz jednak, gdy oto wróciła znowu po wodę, widać, jak jest zmieniona.

- Co pani jest? Czy pani chorowała?

Jej okrągła biała twarz poczerniała i schudła, czoło ma pomarszczone, jakby od ciągłego wysiłku, oczy błyszczą jak w gorączce.

- Nie, nic mi nie jest takiego - mówi pochmurnie. - Tylko że ludzie wcale tutaj nie mogą żyć.

Nawet jej głos jest niepewny, drżący i przyciszony.

- Mieszkania mamy wszyscy zaraz koło muru, to u nas wszystko słysząc, co się u tamtych dzieje. Już teraz każdy wie, co to jest. Do ludzi strzelają po ulicach. Pałają ich w mieszkaniach. Po nocach krzyki takie i płacz. Nikt nie może ani spać, ani jeść, nikt nie może wytrzymać. Czy to jest przyjemnie tego słysząc?

Rozejrzała się, jakby mogły ją słyszeć groby pustego cmentarza.

- To także przecież ludzie, więc ich człowiek żałuje - wyjaśniła. - Ale oni nas nienawidzą gorzej niż Niemców.

Zdawała się urażona mymi słowami naiwnej perswazji.

- Jak to, kto mówił? Nikt nie potrzebował mówić. Sama wiem. I każdy pani powie to samo, kto ich zna. Że niechby tylko Niemcy wojnę przegrały, to Żydzi wezmą i nas wszystkich wymordują... Pani nie wierzy? Nawet same Niemcy to mówią. I radio też mówiło...

Wiedziała lepiej, do czegoś jej była potrzebna ta wiara.

Poprawiła polewaczką na kamieniu przy studni i na nowo pompować zaczęła wodą. Gdy skończyła, podniosła głowę jeszcze nadąsana. Zmarszczyła czoło i niespokojnie zamrugła oczami.

- Nie można wytrzymać, nie można wytrzymać - powtórzyła. Trzęsącymi rękami zaczęła wycierać sobie twarz z łatwych łez.

- Najgorsze jest to, że dla nich nie ma żadnego ratunku - mówiła cicho, jakby wciąż bojąc się, że kto usłyszy. - Tych, którzy się bronią, oni zabijają na miejscu. A tych, co się nie bronią, wywożą samochodami tak samo na śmierć. Wiać co oni mają robić? Podpalają ich w domach i nie dają im wyjść. To matki zawijają dzieci w co tam mają miękkiego, zęby ich mniej bolało, i wyrzucają z okna na bruk! A później wyskakują same... Niektóre skaczą z najmniejszym dzieckiem na rękach...

Podeszła bliżej.

- Z jednego miejsca od nas było widać, jak ojciec wyskakiwał z takim mniejszym chłopcem. Namawiał go, ale ten chłopiec się bał. Stał już na oknie i jeszcze się łapał za ramię przed tym ojcem. I czy go ojciec zepchnął, czy jak - tego nie było widać. Ale oba razem, jeden za drugim spadli.

Znowu zapłakała i drżącymi rękoma wycierała twarz.

- I nawet jak tego nie widać, to my słyszymy. To słysząc tak, jakby coś miękkiego

klapnęło. Płask, płask... Wciąż tak wyskakują, wolą wyskoczyć, niż się za życia spalić w ogniu...

Nasłuchiwała. W miękkim nawoływaniu się ptaków cmentarnych rozeznawała dalekie głosy ciał upadających na kamienie. Dźwignęła polewaczkę i odeszła z nią w stronę żółtych i granatowych bratków na grobach. Niebem nadpływał nowy samolot od strony lotniska i wielkim zakolem zdążał ponad mury getta.

Rzeczywistość jest do zniesienia, gdyż jest niecała wiadoma. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji. Wiemy o spokojnych pochodach ludzi idących bez sprzeciwu na śmierć. O skokach w płomienie, o skokach w przepaść. Ale jesteśmy po tej stronie muru.

Kobieta cmentarna widziała to samo i słyszała. I dla niej jednak rzecz tak przeplotła się z komentarzem, że zatraciła swą rzeczywistość.

PRZY TORZE KOLEJOWYM

Należy do tych umarłych jeszcze jedna, ta młoda kobieta przy torze kolejowym, której ucieczka się nie udała.

Daje się poznać już dziś tylko w opowiadaniu człowieka, który to widział i który nie może tego zrozumieć. I żyje też już tylko w jego pamięci.

Wiezieni długimi pociągami w zaplombowanych wagonach do obozów zniszczenia uciekali niekiedy w drodze. Ale niewielu się na taką ucieczkę ważyło. Wymagało to odwagi większej, niż tak bez nadziei, bez sprzeciwu i buntu jechać na pewną śmierć.

Ucieczka udawała się niekiedy. W ogłuszającym łoskocie pędzącego towarowego wagonu nikt z zewnątrz nie mógł usłyszeć, co w środku się dzieje.

Jedynym sposobem było wyłamanie desek z podłogi wozu.

W ciasnocie stłoczonych ludzi, zgłodniałych, cuchnących i brudnych, rzecz zdawała się prawie niewykonalna. Trudno było się nawet poruszyć. Zbita masa ludzka, miotana rwącym rytmem pociągu, zataczała się i kołysała w dławiającym zaduchu i ciemności. Jednak nawet ci - zbyt słabi i lękliwi - którzy nie mogli marzyć o ucieczce, rozumieli, że innym trzeba to ułatwić. Odchylali się, przywierali do siebie, unosili powalane nawozem stopy, by otworzyć drogę do wolności innym.

Podważenie deski z jednej strony już było początkiem nadziei. Trzeba ją było oderwać zbiorowym wysiłkiem. To trwało godziny. A wtedy zostawała do oderwania druga i trzecia deska.

Najbliżsi pochylali się nad wąskim otworem i cofali z lękiem. Trzeba było zebrać się na odwagę, by - próbując rękami na przemian i nogami - wypełznąć przez wąską szczelinę ponad łomotem i zgrzytem żelastwa, w wichrze dmącego spodem powietrza, ponad przemykającymi podkładami - dopaść osi i w tym uczepię przepelznąć rękami do miejsca, w którym skok dawałby prawdopodobieństwo ratunku. Wypaść pomiędzy szyny lub poprzez koła na brzeg toru - różne były sposoby. A później oprzytomnieć, stoczyć się niewidzialnie z nasypu i uciekać w obcy, nęcący ciemnością las.

Ludzie wpadali pod koła i często ginęli na miejscu. Ginęli, uderzeni wystającą belką, kantem zasuwy, rzuceni pędem o słup sygnału czy przydrożny kamień. Albo łamali ręce i nogi, wydani w tym stanie na wszelkie okrucieństwo wroga.

Tym, którzy ważyli się zestąpić w huczącą, rozpędzoną, łomoczącą czeluść, było wiadomo, na co idą. I wiadomo było tym, co zostali - chociaż z zasuniętych drzwi ani z

wysokiego okienka nie było sposobu się wychylić.

Kobieta leżąca przy torze należała do odważnych. Była trzecią z tych, którzy zestąpili w otwór podłogi. Za nią stoczyło się jeszcze kilku. W tej samej chwili nad głowami podróżnych rozległa się seria strzałów - jakby coś wybuchało na dachu wagonu. I zaraz strzały umilkły. Ale jadący mogli teraz patrzeć na ciemne miejsce po wyrwanych deskach, jak na otwór grobu. I jechać spokojnie dalej w stronę własnej śmierci, która czekała ich u kresu drogi.

Pociąg od dawna zniknął w ciemnościach ze swym dymem i łoskotem, naokoło był świat.

Człowiek, który nie może zrozumieć i nie może zapomnieć, opowiada to jeszcze raz.

Gdy się rozwidniło, kobieta, ranna w kolano, siedziała na zboczu rowu kolejowego, na wilgotnej trawie. Ktoś zdołał uciec, ktoś dalej od toru, pod lasem leżał bez ruchu. Uciekło kilku, zabitych było dwóch. Ona jedna została tak - ani żywa, ani umarła.

Gdy znalazł ją, była sama. Ale powoli zjawiali się ludzie w tym pustkowiu. Nadchodzili od strony cegielni i ode wsi. Stawali lękliwie, patrzyli z oddalenia - robotnicy, kobiety, jakiś chłopiec.

Co chwila tworzył się niewielki wianuszek ludzi, którzy stojąc oglądali się niespokojnie i prędko odchodzili. Przychodzili inni, ale też nie zatrzymywali się dłużej. Rozmawiali z cicha między sobą, wzdykali, jakoś się naradzali odchodząc.

Rzecz nie nasuwała wątpliwości. Jej kręte krucze włosy były rozczochrane w sposób zbyt wyraźny, jej oczy przelewały się zbyt czarno i nieprzytomnie pod opuszczonymi powiekami. Do niej nie odezwał się nikt. To ona zapytywała, czy ci, co leżą pod lasem, nie żyją. Dowiedziała się, że nie żyją.

Był biały dzień, miejsce otwarte, z dala zewsząd widoczne. Ludzie zwiedzili się już o wypadku. Czas był wzmożonego terroru. Za danie pomocy lub schronienia groziła pewna śmierć.

Jednego młodego człowieka, który stał dłużej, później odszedł parę kroków i znowu wrócił, poprosiła, by przyniósł jej z apteki weronału. Dała pieniądze. Odmówił.

Chwilę leżała zamknięwszy oczy. Znowu usiadła, poruszyła nogą, ujęła ją w obie ręce, usunęła z kolana spódnicę. Ręce miała zakrwawione. Ten wyrok śmiertelny na nią, uwięzły w jej kolanie, tkwił tam jak gwóźdź, którym przybita była do ziemi. Leżała długo i spokojnie, oczy zbyt czarne mocno zakryła powiekami,

Gdy je wreszcie odsłoniła, zobaczyła wokół siebie nowe twarze. Ale ów młody człowiek jeszcze stał. Wtedy poprosiła, by kupił jej wódki i papierosów. Wyświadczył jej tę

przysługę.

Gromadka na zboczu nasypu ściągała uwagę. Wciąż ktoś nowy się przyłączał. Leżała pośród ludzi, ale nie liczyła na pomoc. Leżała jak zwierzę ranne na polowaniu, którego zapomniano dobić. Była pijana, drzemała. Nieprzeparta była ta siła, która odgradzała ją od nich wszystkich pierścieniem przerażenia.

Mijał czas. Stara wieśniaczka, która była odeszła, zdążyła wrócić. Była zdyszana. Podeszła blisko, wyjęła spod chustki ukryty blaszany kubek mleka i chleb. Nachyliła się, pospiesznie włożyła to w ręce zranionej i zaraz odeszła, by tylko z daleka popatrzeć, czy wypije. Dopiero kiedy zobaczyła idących od miasteczka dwóch policjantów, zniknęła zasłaniając twarz chustką.

Inni rozeszli się też. Tylko ten jeden małomiasteczkowy frant, który przyniósł wódki i papierosów, dotrzymywał jej wciąż jeszcze towarzystwa. Ale ona nie chciała już od niego nic więcej.

Policjanci podeszli poważnie zobaczyć, co to jest. Zrozumieli sytuację, naradzali się, co mają zrobić. Zażądała, by ją zastrzelili. Umawiała się o to z nimi półgłosem, byle nie dawali nigdzie znać. Nie byli zdecydowani.

Odeszli i oni, rozmawiając, przystając i znów idąc dalej. Nie było wiadomo, co postanowią. Ostatecznie nie zechcieli jednak spełnić jej żądania. Zauważyła, że poszedł z nimi ten uprzejmy młody, który podawał jej ogień do papierosów zapalniczką nie chcąc się zapalić. I któremu powiedziała, że jeden z tych dwóch zabitych pod lasem to jej mąż. Wydawało się, że ta wiadomość była mu nieprzyjemna.

Spróbowała napić się mleka, ale po chwili w zamyśleniu odstawiła kubek na trawę. Przetaczał się ciężki, wietrzny dzień przedwiosenny. Było chłodno. Za pustym polem stało parę domków, z drugiej strony kilka niedużych, chudych sosen zamiatało gałęziami niebo. Las, do którego mieli uciec, zaczynał się dalej od toru, poza jej głową. To pustkowie było całym światem, który oglądała.

Młody człowiek wrócił. Znowu popiła wódki z butelki, a on podał jej ognia do papierosa. Lekki, ruchomy zmierzch nasuwał się na niebo od wschodu. Na zachodzie kłęбки i smugi chmur wstępowały bystro ku górze.

Nowi ludzie przystawali, wracający z roboty. Dawniejsi objaśniali tych nowych, co się stało. Mówili tak, jakby nie słyszała ich wcale, jakby jej już nie było.

- To jej mąż tam leży zabity - mówił kobiecie głos.

- Uciekli z pociągu w ten lasek, ale strzelali za nimi z karabinu. Zabili jej męża, a ona tu sama została. W kolano ją trafiło, nie mogła dalej uciekać...

- Żeby to z lasu, toby ją było łatwiej gdzie wziąć. Ale tak, na ludzkich oczach - nie ma sposobu.

To mówiła stara kobieta, która przysłała po swoją blaszaną kwartę. W milczeniu popatrzyła na mleko rozlane w trawie.

Tak więc nikt nie zapragnął zabrać jej stąd przed nocą ani wezwać doktora, ani dowieźć do stacji, skąd mogłaby pojechać do szpitala. Nic takiego nie było przewidziane. Szło już tylko o to, aby tak lub inaczej umarła.

Gdy otworzyła oczy o zmierzchu, nie było przy niej nikogo, prócz dwóch policjantów, którzy wrócili, i tego jednego, który już teraz nie odchodził wcale. Znowu powiedziała, by ją zastrzelili, ale bez wiary, że to zrobią. Obie ręce położyła na oczach, żeby już nic nie widzieć.

Policjanci jeszcze wahali się, co mają robić. Jeden namawiał drugiego. Tamten odrzekł:

- To ty sam.

Ale usłyszała głos tego młodego:

- No to dawaj pan mnie...

Drożyli się jeszcze i spierali. Spod uchylonej powieki zobaczyła, jak policjant wyjął rewolwer z futerału i podał nieznajomemu.

Ludzie, małą grupką stojący dalej, widzieli, że nachylił się nad nią. Usłyszeli strzał i odwrócili się ze zgrozaniem.

- Już mogli lepiej wezwać kogo, a nie tak. Jak tego psa.

Gdy się zrobiło ciemno, wyszło z lasu dwóch ludzi, żeby ją zabrać. Z trudem odnaleźli to miejsce. Myśleli, że śpi. Ale gdy jeden wziął ją pod plecy, zrozumiał od razu, że ma do czynienia z trupem.

Leżała tam jeszcze całą noc i poranek. Aż przed południem przyszedł sołtys z ludźmi i kazał ją zabrać i zagrzebać razem z tamtymi dwoma, zabitymi przy torze kolejowym.

- Ale dlaczego on do niej strzelił, to nie jest jasne - mówił opowiadający. - Tego nie mogę zrozumieć. Właśnie o nim można było myśleć, że mu jej żal...

DWOJRA ZIELONA

Nieduża kobietą z czarną przepaską na oku stanęła przy ladzie. Jej równie drobny i cokolwiek dziwny towarzysz z czarnymi wąsikami zażądał dla niej okularów.

- Przez parę lat ta pani nie nosiła okularów - powiedział znacząco i życzliwie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że była w obozie.

Co do oka, to okazało się, że jest nieodpowiednie. Jest za duże i nie chce wejść. A po okulary trzeba jeszcze przyjść nazajutrz.

- Czy nie zechciałaby pani ze mną porozmawiać? Mogłybyśmy wstąpić tu obok do cukierni.

Zdziwiła się. Nie mogła iść do cukierni. Była zajęta. Musiała wracać do mieszkania, bo jest zamknięte, a klucz ma ona ze sobą. Do mieszkania, gdzie właśnie od dwóch dni znalazła zajęcie.

Idziemy tedy razem przez szeroką ulicę Pragi i ciemną bramą przenikamy w podwórze wielkiej rudery o brudnych, poczerńiałych ścianach z poodbijanym tynkiem. Głęboko w rogu, za oblażłymi z brunatnej farby drzwiami, zaczyna się mroczna sień.

- To jest na trzecim piętrze.

Drewniane schody idą pod górę nieprzerwanym ciągiem w ciemności. Trzeba się trzymać poręczy, uważnie macać podszwami wyrwy w deskach, by nie upaść. Dopiero na pierwszym piętrze załamuje się ich ciągły bieg. Równy pomost podłogi wiedzie z powrotem do miejsca, w którym zaczynają się ponad tamtymi nowe schody i znowu jednym długim tchem sięgają piętra drugiego.

U wejścia na trzecią kondygnację stoimy chwilę przy oknie. Patrzymy w wielkie, odrapane, ciemne i brudne podwórze.

- Jakże pani ma zajęcie?

- Sprzątam i pilnuję mieszkania. Bo w tym mieszkaniu będzie żydowskie ambulatorium.

- Więc znalazła pani swoich ludzi? Ma pani opiekę i przyjaciół?

- Jestem sama - odpowiada spieszenie. - Jestem sama - powtarza jeszcze raz.

- Jednak ten pan, który odszedł, kupował dla pani okulary. I oko.

Na to z trudem przystała.

- Owszem, kupię mi oko. I nawet chcę wprawić zęby. - Zawahała się i ciężko

wyznała: - Ale to nie jest rodzina.

Idziemy już ostatnią kondygnacją i znów /wracamy równym pomostem, obwiedzionym drewnianą poręczą. W miejscu gdzie na niższych piętrach są okna, na trzecim otwierają się wypełzłe, chwiejne drzwi oszklone. Wychodzą na napowietrzny ganek drewniany z poręczą, uczepony muru, trzeszczący nad próżnią.

Zatrzymujemy się przy trzecich z kolei drzwiach, zamkniętych jak gdyby na okiennice.

- To tutaj - powiada.

Wyjmuje klucz i otwiera wetkniętą w skoble olbrzymią kłódkę. Drzwi otwierają się na rozległe, puste mieszkanie. Jeden pusty, ponury pokój, z umytą podłogą, drugi też wysprzątnany, z niskim pod ścianą legowiskiem. W trzecim stół pod ścianą, jedno i drugie krzesło.

- O, tutaj możemy rozmawiać. Niech pani siądzie. Siadamy naprzeciwko siebie przy rogu tego stołu.

- Oni są dobrzy. Ale to nie jest rodzina - powtarza. - Nie ma nikogo. Mój mąż jest zabity w roku 43 na stacji Małaszewicze, osiem kilometrów pod Brześciem Litewskim. W lagrze. Zabitych było tysiące, bo zabijali tak co dziesiątego, zabijali co parę dni. Nie, sama tego nie widziałam, ale o tym słyszałam. Bo tam nie byłam, byłam w Międzyrzeczu. I jedno wiem, że w 42 roku mój mąż był jeszcze żywy. Bo wtedy lotnik niemiecki wziął list do męża i była na ten list odpowiedź, że mój mąż się kłania. A później dowiedziałam się, że jest zabity.

Wstała i wpuściła ludzi, którzy przyszli naprawić w kuchni zlew.

- Mam trzydzieści pięć lat, tylko że tak wyglądam. Nie mam zębów, nie mam oka...

Wyszła za mąż mając dwadzieścia trzy lata. Mieszkali w Warszawie przy ulicy Stawki. Ona pracowała w fabryce, robiła na maszynie wełniane rękawiczki, on był szewcem. Naprzód też pracował w fabryce, później robił buty w domu. Owszem, było im dosyć ciężko.

- Dzieci nie mieli.

- Mąż się nazywał Rajszer, ale ja się nazywam Zielona. Bo nie miałam papierów i zapisali mi nazwisko ojca.

Po chwili zastanowienia dodała jeszcze:

- A na imię mam Dwojra.

W roku 39 bomby rozwały dom na Stawkach. Stracili wszystko - rzeczy, ubranie. I przenieśli się do Janowa Podlaskiego. Westchnęła.

- Tam już nosiliśmy żółty trójkąt, sześć takich szpicy, palestyński znak. A dopiero później nosiliśmy opaski. Oboje.

W październiku 42 roku już męża nie było, bo pracował w tym lagrze Małaszewicze. Wtedy całe miasto Janów Podlaski wysiedlili do Międzyrzecza. To był taki Judenstadt, tam byli wszyscy Żydzi z lubelskiego województwa. Co dwa tygodnie wywozili ludzi do Treblinki koleją. Ta reszta, co została, była zamknięta w getcie. Inni ginęli, ona nie.

- Jak była akcja, to ja się zawsze schowałam. Siedziałam na strychu.

Rozpostartymi palcami obu rąk przesłoniła swą twarz. I patrzyła chwilę jednym okiem przez szpary między palcami.

- Czy to znaczy, że pani zakrywała sobie twarz rękami?

Uśmiechnęła się. - Gdzie tam. Ja tylko pokazuję pani, że się tak zawsze chowałam.

Siedziała na strychu i myślała: „Teraz żyję, a za godzinę nie wiem, co będzie”. Ale inni ginęli, a ona nie.

- Raz się tak chowałam, jak była akcja, przez całe cztery tygodnie. Bez jedzenia.

To także, jak te rozcapierzone palce na twarzy, należało rozumieć w pewnym sensie metaforycznie.

- No, wzięłam parę cebulki i miałam tam mannę kasze, więc to jadłam. Nie, nie gotowane. Skąd! nie było przecież wody. Miałam też trochę kawy mielonej, zbożowej, to także jadłam surową tę kawę. Nic mnie nie bolało. Myślałam: umrę. Byłam taka osłabła. Byłam sama jedna na świecie.

Raz usłyszałam, że był ruch na ulicy. Było to w grudniu 42 roku. Usłyszałam ruch, to wiedziałam, że już placówki nie pilnują. Więc zeszłam. Po akcji można było znowu chodzić w środku między drutami. Owszem, była jeszcze gmina żydowska. Oni dawali trochę chleba.

Ale nie było ważne to całe życie nasze...

Miałam kilka koszuli, to sprzedawałam i kupiłam sobie chleb na jutro, na pojutrze.

Oko straciłam pierwszego stycznia 43 roku. Była taka zabawa u Niemców. Oni się bawili w Sylwestra. Zastrzelili sześćdziesiąt pięć ludzi. Z mojego domu to ja jedna zostałam, że jeszcze żyję. Strzelali na ulicy, na śniegu, o szóstej rano. Wchodzili do mieszkań. To ja chciałam uciekać, wyskoczyłam przez okno. Myślałam, że się zabiłam. I dostałam strzał w oko.

Jak do mnie strzelali, to tak czułam: „a może jeszcze żyję...”

Zniżyła głos, mówiła poufnie:

- Pani powiem: ja chciałam żyć. Nie wiem, bo nie miałam męża ani rodziny, ani nikogo, i chciałam żyć. Oka nie miałam, byłam głodna i chłodna - i chciałam żyć. Dlaczego? To pani powiem: po to, żeby powiedzieć wszystko tak, jak pani teraz mówię. Niech świat o tym wie, co oni robili.

Myślałam, że będę żyła ja tylko jedna. Myślałam, że nie będzie na świecie ani jednego Żyda.

Zabrali mnie do szpitala. W oku nic nie czułam, tylko mnie więcej bolało tutaj: krzyż i nogi. Od stłuczenia. To mówiłam: „Dajcie mnie noża”. Bo chciałam zrobić z sobą koniec. Już nie mogłam żyć. Oka nie miałam, nic nie miałam. Oko wypłynęło całe. Na uchu też miałam ranę. Mieli mnie prześwietlić. Ale samo się zagoiło.

Jak już resztę nas zabrali, to już się nie chowałam. I sama poszłam za naszymi do tego Majdanka.

Grosza nie mam, jedzenia nie mam, oka nie mam. Żydów nie ma - to co miałam robić sama na tym strychu? Kawałek chleba już też nie miałam. Jak mam umrzeć, to wolałam umrzeć razem z nimi, nie sama.

No to poszłam do Majdanka. Tam dawali Chleba bardzo mało. I trochę zupy o dwunastej.

Czyśmy sobie wzajemnie pomagali? Bo ja wiem. Trochęśmy pomagali. Ale niedużo. Ach, pani wie, każdy ma swój kłopot: co może zrobić? Co dwa tygodnie była selekcja, taka przebierka. Co można zrobić?

Czy mnie bili? Owszem: raz w Majdanku esmanka Brygida - to ona mnie zbiła. Czym? Kija miała. Dostałam od niej po głowie. A za co?

Śmieje się z politowaniem.

- Bo ona tak chciała, nic więcej.

Wszystkie wtedy dostały. Bo jedna kapowa, taka fūhrabtarina, powiedziała o jednej z nas, że ona robi geszeft. Że coś kupuje. I za tę jedną wszystkie dostały. Ale czy ona robiła geszeft? Ja nie wiem.

Uciec nie można było. Jedna panienka uciekła. To ją złapali i powiesili. Taki tam stał słup i hak... Było nas z dziesięć tysięcy na placu i musieliśmy wszystkie na to patrzeć.

Była spokojna, bardzo spokojna - esman spytał się co ona chce przed śmiercią. A ona powiedziała: „Nic, nic, prędzej zrób, co chcesz”. Dwadzieścia lat miała, była delikatna.

Byli też dwaj bracia. Oni się później sami powiesili.

Wstała, żeby wypuścić robotników, którzy już skończyli swoją pracę. Ale wróciła zaraz i usiadła na swym miejscu.

- Raz przyszedł esesman ze Skarżyska-Kamienna, szef Imfling. Powiedział: „Kto chce pracować, to pojedzie do pracy”. Umiałam pracować, to pojechałam. To była fabryka amunicji.

Tam nie dostałam bicia ani razu. Ale tam też coraz była selekcja, jak już kto raz był w

szpitalu, to go zabili. Kto miał zwolnienie od pracy, choćby parę dni przestał robić - już go zabili.

Ja miałam tylko jedno oko i zrobił mi się na tym oku taki jęczmień jak wrzód. No to byłam ślepa. Ale pracowałam, żadnego dnia nie opuściłam, po dwanaście godzin. Tydzień przez dzień, tydzień przez noc. I widzi pani, nie uwolniłam się, nie poszłam do doktora. Bałam się. Bo to była śmierć. Myślałam, że może przeżyję i tak, a może...

Uśmiechnęła się nieśmiało i wstydliwie.

- Widać znowu chciałam żyć.

Jeszcze coś sobie przypomniała.

- Teraz pani powiem, jak było z zębami.

Kiedy przyszłam do Skarżyska-Kamienna, tam dawali tylko trochę zupy. To byłam strasznie głodna.

Można było jedzenie kupić od robotników, którzy przychodzili pracować z miasta. Czasami sami coś dawali, ale prędzej trzeba było kupić. A ja nie miałam pieniędzy. To sama wyrwałam sobie złote zęby.

Czy wyrwałam sznurkiem? Nie. Tylko przez kilka dni ruszałam. Jak się dobrze ruszał, to już łatwo dał się wyrwać. Sam wyszedł. Za jeden ząb dostałam osiemdziesiąt albo osiemdziesiąt pięć złotych. I kupiłam sobie dosyć chleba.

Trzyście miesięcy tak robiłam w Skarżysku. Jak się Ruski przybliżył do Skarżyska, to Niemcy całą fabrykę z nami przenieśli do Częstochowy. I tam była znowu taka sama robota.

Siedemnastego stycznia przyszli Sowieci. Esmani uciekli szesnastego. W Częstochowie było piętnaście tysięcy Żydów. Zostało pięć tysięcy, resztę powieźli do Niemiec, kolejami. Nic na to nie można było zrobić. Były takie zapisy. Majster zapisywał i ludzi według zapisu brali.

Majstrzy nas pilnowali. Żeby jeszcze parę godzin Sowieci nie przyszli, byłoby po nas.

Byliśmy już ustawieni na ulicy. Ale Sowieci przyszli i majstrzy uciekli.

Czyśmy się ucieszyli, jak przyszli? Tak, cieszyliśmy się bardzo. Bośmy już nie byli za drutami, bośmy byli wolni. Witaliśmy ich, aleśmy ani nie krzyczeli, ani nic.

Westchnęła.

- Nie mieliśmy siły...

WIZA

Nie mam niechęci do Żydów. Tak samo jak nie mam niechęci do mrówki ani do myszki.

Czeka przez chwilę, co na to powiem.

Siedzi ciężko. Jest duża i dosyć tęga. Nie rozstała się dotąd ze swym obozowym chałatem w szare i granatowe pasy. Aż dotąd też ma włosy obcięte krótko przy głowie, jak mężczyźni. I na niej taką samą w szare i granatowe pasy czapeczkę.

Przyszła z wizytą. Siedzi na miękkim krześle w pokoju hotelowym. O nic nie prosi, niczego nie potrzebuje. Nie potrzebuje zwłaszcza pieniędzy. A te, które otrzymała w Opiece, pragnie co prędzej oddać komukolwiek, komu są bardziej potrzebne. W ostateczności chce je oddać choćby na przechowanie. Takim ją bowiem przejmują obrzydzeniem.

Ręką trzyma oparte o poręcz krzesła dwie duże drewniane kule.

- Dlaczego ja mówię o tej myszce - odpowiada, chociaż nie zapytałam jej o to. I uśmiecha się.

Uśmiecha się ładnie. Pokazuje przy tym dużo białych, młodych zębów. Jej oczy brunatne świecą się silnie, policzki są ciemne i rumiane.

Jest młoda, ale bardzo zeszpecona tymi za krótkimi włosami, zjeżonymi jak szczotka, tą czapką kuchcika i dużymi okularami na nosie.

- Bo raz z jedną mariawitką obierałyśmy w kuchni kartofle. I w tych kartoflach znalazłyśmy gniazdko myszy. Gniazdko było w ziemniaku. Cały środek był wyjedzony, a one siedziały w łupce. To były trzy myszki młode, zupełnie jakby gołe. Takie brudnoróżowe. Ta mariawitka chciała je dać kotowi. Ale ja nie pozwoliłam...

Waha się przez krótką chwilę.

- Bo powstała we mnie taka myśl: a jak on będzie, ten kot, jadł te myszy?

I dodaje z niechęcią:

- Była we mnie taka ciekawość jak w gestapowcu - jak to, będzie wyglądało?...

Zastanowiła się dłużej nad tym szczególnym zjawiskiem. Popatrzyła jak gdyby wewnątrz siebie i westchnęła.

- Więc schowałam je na powrót do tej łupki i zasunęłam głęboko w słomę. Może matka je znajdzie i jakoś się uratują.

Tak więc naprawdę nie ma niechęci do Żydów, mimo że sama jest chrześcijanką. Przeszła na katolicyzm jeszcze w początkach wojny, gdy bardzo się męczyła oglądając tyle

niesprawiedliwości i okrucieństwa. Myśl o mękach Pana Jezusa pomogła jej łatwiej to znieść.

Miała polskie nazwisko i polskie papiery, w obozie była jako Polka, nie jako Żydówka. Nie wie dobrze, kto byli jej rodzice, nie widziała ich nigdy. Zna tylko swoją babkę, która ją wychowała. Ale to nie jest ważne. Babka też zresztą już nie żyje.

Ta okoliczność wymaga także chwili zastanowienia.

- Nikim w ogóle nie pogardzam. Ale to nie jest ważne. Ważna jest natomiast rzecz następująca:

- Pani wie, co to jest: iść na wizę?

- Nie wiem.

- W obozie od samego rana esmanki wołały: - Idźcie na wizę! Idźcie na wizę!... - A Jugosłowianki mówiły: - *Iti na luku...*

To było w październiku. Dnie bardzo zimne, mokro. Wszystkie kobiety z jednego bloku szły na wizę. I zostawały tam do wieczora. Bo blok musiał być czysty.

A wiza to jest łąka pod samym lasem, pod drzewami. Stały tam na zimnie przez cały dzień bez jedzenia i bez żadnej roboty. Blok musiał być czysty, sprzątanie i czyszczenie trwało kilka dni. A one tam stały. Nie wiem, ile ich mogło być. Wielka gromada. Niemcy pewno dlatego ich tak nienawidzili, że ich było tak dużo... Francuzki, Holenderki, Belgijki, dużo Greczynek. Te Greczynki były w najgorszym stanie. Polki i Rosjanki były silniejsze.

Stały wszystkie ciasno, jedna obok drugiej, chociaż miejsca było dosyć. Brudne, owrzodzone, ostrupiałe. Były między nimi chore i nawet umierające. Ich już wcale nie leczyli...

Mówi wciąż o nich, nie o sobie. Więc nie jest jasne, czy była tam z nimi, czy też patrzyła z zewnątrz.

- Bo one były w obozie już siedem miesięcy, a my ledwie przyjechałyśmy ze świeżym transportem. Ale już zaraz na drugi dzień byłyśmy też na wizie. Wyglądały strasznie i właśnie najgorzej, że ich było tak dużo. Wiedziałam, że z nami będzie to samo.

Nie mówi o tym, co cierpiała sama. Mówi wciąż tylko o innych.

- Nie bałam się. Wiedziałam, że umrę, więc się nie bałam. O sobie może powiedzieć to, że się zawsze modliła, gdy ją bili.

Modliła się, żeby nie czuć nienawiści. Nic więcej.

Niewiele też ma do powiedzenia o swym kalectwie. Noga źle się zrosła, więc trzeba jeszcze raz zrobić operację, kość złamać i na nowo ją zestawić. Owszem, naturalnie, pójdzie do szpitala, ale nie zaraz. Przedtem musi niektóre swoje sprawy załatwić. Na przykład chciałaby jeszcze pojechać do Gdańska i zobaczyć morze. A także odwiedzić jedną koleżankę

z obozu, która jest teraz w Poznaniu. Właśnie dostała od niej list i wie, że będzie się mogła jej w czymś przysłużyć.

W jakich okolicznościach złamała nogę i czy wtedy także nie czuła nienawiści, nie wiadomo. W każdym razie do szpitala pójdzie dopiero później.

- Na wizie wyginali przez cały tydzień każdego dnia. Stały tam wciąż bardzo ściśnięte, żeby się ogrzać. Wszystkie starały się być w środku dla ciepła, żadna nie chciała zostać na skraju. Schylały głowę i wciskały się między inne, jak mogły. Wciąż się to wszystko razem ruszało...

Niektóre były całe w ranach, a przecież się jedna do drugiej przyciskały. I coraz więcej ich umierało. Cały dzień tak je wyginali. Aż do selekcji.

- Jeden dzień był też zimny, ale w południe pokazało się słońce. Wtedy one wszystkie przesunęły się w tę stronę, gdzie słońca nie zasłaniały drzewa. Przesunęły się nie jak ludzie, tylko jakby jakieś zwierzątka. Albo jakby jakaś masa...

Tego dnia właśnie Greczynki śpiewały hymn narodowy. Nie po grecku. One śpiewały po hebrajsku żydowski hymn... Śpiewały w tym słońcu bardzo pięknie, głośno i mocno, jakby były zdrowe.

- To nie była fizyczna siła, proszę pani, bo przecież one właśnie były najsłabsze. To była siła tęsknoty i pragnienia.

Na drugi dzień była selekcja. Przyszłam na wizę i wiza była pusta.

CZŁOWIEK JEST MOCNY

Pałac, którego już nie ma, stał na samym skraju wzgórza, ponad rozległym widokiem na wiosenny kraj, gładki po horyzont, podzielony równo zielonymi polami.

Pałac roztrzaskał się, jak mówi Michał P. Został wysadzony w powietrze o tym samym czasie, gdy w pobliskim słynnym lesie Żuchowskim spłonęły cztery krematoria.

Był użyty jako dekoracja, jako wspaniała brania architektoniczna, wiodąca z życia do śmierci. Grał rolę metafory w tym obrzędzie, który odbywał się tu przez długi czas z nieodmiennym codziennym ceremoniałem. Ludzie zmęczeni drogą, jeszcze żywi, jeszcze będący sobą, we własnych ubraniach podróżnych, mijali jedną i drugą bramę i wjeżdżali na wewnętrzny dziedziniec rezydencji. Z ciężarowego samochodu odpadały tylne drzwi, podróżni, pomagając sobie nawzajem, wstępowali tłumnie po stopniach schodów, mogąc jeszcze mniemać, że - według napisu nad wejściem - wchodzą do Zakładu Kąpielowego. Po pewnym czasie, przebywszy w poprzek wnętrza gmachu, ukazywali się na ganku po jego stronie przeciwnej już tylko w białym - niektórzy jeszcze z kawałkiem mydła i ręcznikiem w dłoni. Przynaglani do pośpiechu, uchylając się od uderzeń kolbami, wbiegali bezładnie po kładce w czeluść ustawionego tyłem do pałacu, wielkiego jak wagon meblowy, auta gazowego.

Drzwi hermetyczne zatrzaśkiwały się z łoskotem. Teraz dopiero ludzie o innym przeznaczeniu, siedzący w piwnicach pałacowych, mogli usłyszeć wielki krzyk przerażenia. Zamknięci w pułapce wołali o pomoc, bili pięściami o ściany wozu. Po kilku minutach, gdy krzyki ucichły maszyna odjeżdżała. O czasie właściwym na jej miejsce przychodziła nowa.

Pałacu już nie ma. I nie ma tych ludzi. Na krawędzi wzniesienia pozostał płaski czworobok odmiennej roślinności, wypełzającej łodygami i liściem pomiędzy drobnego gruzu, ograniczony przyziemnymi szczątkami murów. I został pod urwiskiem w dole wielki obszar widzianego świata - dalekie zielone pola, majowe drzewa nad łąkami, zachodzące na siebie błękitne smugi lasów na widnokręgu.

W słońcu zebrała się na miejscu dawnych ogrodów grupka ludzi. Każdy może powiedzieć, co się tu działo. Naokoło pałacu wystawili parkan drewniany, wysoki na trzy metry. Zobaczyć można było niewiele. Ale można było słyszeć, jak coś wywlekali, jak szczękały łańcuchy. W straszny mróz Żydów wyganiali w koszulach. Przed pałacem wciąż huczały wielkie maszyny i wykręcały do Żuchowskiego lasu. Krzyki ludzkie też było słychać.

- Ja mieszkałem w Ugaju, pracowałem u Niemców.

Tak mówi Michał P., młody, wielki Żyd atletycznej budowy, o małej głowie. Mówi niegłośno, spokojnie, ale jednak uroczyście, jakby recytował tekst święty.

- Zaprowadziłem do samochodu mojego ojca i moją matkę. Później zaprowadziłem siostrę i jej pięcioro dzieci, i mojego brata z żoną i z trojgiem dzieci. Chciałem pojechać ochotniczo z rodzicami, ale mi nie pozwolili.

Mieli do tego powody.

- Pracowałem wtedy, przy rozłożeniu starej stodoły z polecenia Komitetu Żydowskiego w Ugaju, więc nie byłem w spisie, kiedy wywozili Żydów z Koła.

Niektórzy się bali. Wtedy Siuda, żandarm wojskowy z polskich folksdojczów, powiedział im: „Nie bójcie się, zawiozą was na stację Barłogi, a stamtąd pojedziecie dalej na roboty”. Więc się nie bali. Niektórzy nawet sami chcieli jechać.

Żydów z Koła wywozili przez 1 pięć dni. Na końcu wywieźli Żydów chorych, ale szoferom kazali jechać z nimi wolno i ostrożnie.

Na początku stycznia 1942 roku zabrali mnie w Ugaju razem z czterdziestoma innymi Żydami na posterunek żandarmerii. Na drugi dzień zajechał samochód ciężarowy z Izbicy i w tym samochodzie było piętnastu Żydów z Izbicy. Załadowali nas razem z nimi i zawieźli do Chełmna. Wszyscy w tym samochodzie to byli ludzie silni, zdolni do najcięższej pracy.

Wspaniałym gestem ręki ukazał miejsce, gdzie przez liście widać było gruzy.

- Tam pałac jeszcze stał. Byłem ciekawy, jak to wygląda. Ale nam patrzeć nie dali. Kiedy samochód wjechał w drugi dziedziniec, odsunąłem płachtą i zobaczyłem, że na ziemi leżą używane ludzkie łachmany. To już wiedziałem, co się dzieje.

Z samochodu przepędzili nas do piwnicy. Poganiali kolbami. Na ścianie było napisane po żydowski: „Kto tu przychodzi, każdy ma śmierć”.

Na drugi dzień zawołali mnie na górę, żeby wynosić z drugimi ubranie. W dużym pokoju były rzucone na podłodze różne łachy mężczyzn i kobiet, palta i buty. To trzeba było przynieść do drugiego pokoju. A tam już leżało tego... Buty układaliśmy w osobną stertę. W tym pierwszym pokoju, gdzie rozbierali się Żydzi, stały dwa piece dobrze napalone. Było ciepło, żeby się chcieli łatwo rozbierać.

W piwnicy okna mieliśmy zabite deskami. Ale jak jeden drugiego podsadził, można było przez szparę coś widzieć.

Niemcy wyganiali ludzi przez ganek tylko w bieliźnie. To oni nie chcieli wychodzić na mróz bez ubrania. Zobaczyli już, co jest, zaczęli się cofać. Wtedy Niemcy ich bili i wpędzali do auta.

Ci, co przychodzili do piwnicy z pracy na noc, powiedzieli, że w lesie zakopują ludzi

uduszonych. Wtedy się podałem do pracy w lesie. Myślałem, że z lasu można uciec.

Zabrali nas trzydziestu do samochodu, zawieźli do lasu Żuchowskiego, dali łopaty i kilofy. O ósmej rano przyjechał pierwszy samochód z Chełmna. Kto pracował w rowie, nie wolno było obrócić się do samochodów, nie dali patrzeć. Ale widziałem. Niemcy - jak otworzyli drzwi - odskoczyli od auta. Ze środka szedł ciemny dym. W miejscu, gdzieśmy stali, nie czuć było żadnego zapachu.

Potem weszło do auta trzech Żydów i oni wyrzucali trupy na ziemię. W aucie leżały jedne na drugich prawie do połowy wysokości. Niektóre trzymały się w objęciu. Takim, co jeszcze żyły, Niemcy strzelali w tył głowy. Po wyrzuceniu trupów auto odjeżdżało do Chełmna.

Potem dwóch Żydów podawało trupy dwom Ukraińcom. Oni byli w ubraniu cywilnym. Wyrwali obcęgami złote zęby trupom, z szyi im ściągali woreczki z pieniędzmi, z rąk zegarki, obrączki z palców.

Obszukiwali trupy bardzo, aż do obrzydliwości.

Do tego czasu robili to we trzech. Ale akurat tego dnia jednego Ukraińca przy ładowaniu wepchnęli razem z Żydami do gazowego auta. Krzyczał, ale inni także krzyczeli, tak że się Niemcy nie połapali. I tak udusił się z tymi Żydami, co ich miał rewidować.

Jak auto przyszło do lasu, to tego Ukraińca rozpoznali i bardzo go chcieli odratować. Robili mu sztuczne oddychanie, ale już nie pomogło.

- Niemcy sami nie rewidowali trupów, ale zawsze dobrze patrzyli Ukraińcom na ręce przy tej robocie. A co tamci znaleźli, Niemcy wkładali do osobnej walizki.

Bielizny z trupów już nie kazali zdjąć.

Po obszukaniu trupów kładliśmy je do rowu, na przemian, jednego głową przy nogach drugiego, bardzo ciasno, żeby się dużo zmieściło. Wszystkie obrócone twarzą do dołu. Im wyżej, tym rów był szerszy, pod wierzch mieściło się tak około siebie ze trzydzieści trupów. W trzech, czterech metrach rowu mieściło się tysiąc.

Do lasu przyjeżdżał dziennie transport uduszonych trzynaście razy, w jednym samochodzie szło na raz do dziewięćdziesięciu. Żydzi oczyszczali podłogę samochodu, jak co złotego znaleźli, też oddawali do walizki. Mydła i ręczniki odchodziły z powrotem do Chełmna.

Od początku namawiałem się z drugimi, żeby uciec. Ale ludzie byli za bardzo przygnębieni. Praca nasza trwała cały dzień, póki się nie ściemniło. Przy pracy bili nas, żeby to szło prędzej. Jak który za powoli pracował, to kazali się położyć twarzą na trupach i z rewolweru strzelali mu w tył głowy.

Żandarmi, którzy nas pilnowali w czasie służby, byli trzeźwi. Byli zawsze ci sami. Z nami nie rozmawiali. Czasem nam który rzucił do rowu paczkę papierosów.

Raz przyjechało do lasu Żuchowskiego trzech obcych Niemców. Rozmawiali z oficerami SS, oglądali razem zwłoki, śmiali się i odjechali.

Dziesięć dni przepracowałem. Las nie był wtedy jeszcze ogrodzony, pieców do palenia trupów też jeszcze nie było. Przy mnie duszono Żydów z Ugaju, Żydów z Izbicy, w piątek przywieźli Cyganów z Łodzi, w sobotę Żydów z łódzkiego getta. Jak Żydzi z Łodzi przyjechali, to między nami zrobili Niemcy selekcję, dwudziestu słabszych oddali do gazu, a wzięli na to miejsce nowych, mocnych Żydów z Łodzi.

Pierwszego dnia ci łódzcy Żydzi byli zamknięci w drugiej piwnicy i pytali się przez ścianę, czy dobry obóz, czy dają dużo chleba. Jak się dowiedzieli, co tu jest, to się przelękli i mówili: „A myśmy się sami zapisali do pracy...”

Zamilkł na chwilę, coś w sobie ważył. Jego wielkie, kościste ciało ugięło się od wewnętrznego zmęczenia. Po namyśle powiedział tak:

- Jednego dnia - to był wtorek - z trzeciego samochodu, który przyjechał tego dnia z Chełmna, wyrzucili na ziemię zwłoki mojej żony i moich dzieci, chłopiec miał siedem lat, dziewczynka cztery. Wtedy położyłem się na zwłokach mojej żony i powiedziałem, żeby mnie zastrzelili.

Nie chcieli mnie zastrzelić. Niemiec powiedział: „Człowiek jest, mocny, może jeszcze dobrze popracować”. I bił mnie drągiem, dopóki nie wstałem.

Tego wieczora powiesiło się w piwnicy dwóch Żydów. Chciałem się też powiesić, ale odmówił mi człowiek pobożny.

Wtedy ugodziłem się z jednym, żeby razem uciec w drodze. Ale właśnie na ten raz on pojechał drugim samochodem. Więc już powiedziałem sobie, że ucieknę sam.

Gdy wjechaliśmy w las, poprosiłem konwojenta o papieros. Dał. Cofnąłem się, a inni go obiegli też o papierosy. Rozciąłem nożem płachtę przy szoferce i wyskoczyłem z samochodu. Strzelali za mną, ale nie trafili. W lesie strzelał do mnie Ukrainiec na rowerze, też nie trafił. Uciekłem.

We wsi schowałem się do stodoły i zakopałem głęboko w sianie. Rano usłyszałem, jak pod ścianą mówili chłopci, że Niemcy są we wsi i szukają Żyda, który uciekł. Po dwóch dniach, nic nie jedząc, wykradłem się ze stodoły. W drodze zaszedłem do chłopca - nazwiska jego nie znam. Nakarmił on mnie, dał mi maciejówkę, ogolił, żebym wyglądał po ludzku. Od niego poszedłem do Grabowa i tam spotkałem tego Żyda, z którym się umawiałem. On uciekł tego samego dnia z drugiego samochodu.

Przed odjazdem byliśmy w lesie Żuchowskim, gdzie przy kopaniu ogromnych grobów zbiorowych pracował kiedyś Michał P. i gdzie rozpoznał zwłoki uduszonej swojej żony i dzieci.

Na rozległej polanie, w ramie niskich, ciemnych, gęsto rosnących sosen leżały smugi słabiej zarosłej niskiej trawki. Nie było na nich zielonych gałązek wrzosu, łochiń ani paproci. W jednym miejscu dół był rozkopany i w sypkim brudnym piasku widać było kawałek ludzkiej stopy. W głębi, gdzie las był wyższy, pokazywano miejsce po spalonych krematoriach.

Dwie kobiety z tych okolic chodziły za nami po lesie. Zapoznawszy się z nami pytały, czy Komisja nie mogłaby przyspieszyć ekshumacji. Były to matka i żona człowieka, który w samych początkach istnienia obozu był tu rozstrzelany. Znały miejsce, gdzie był ten grób.

Ktoś pokazał znaleziony strzępek pudełka od zapalek z greckim nadrukiem, inny wymyte przez deszcze papierki z cudzoziemskimi firmami aptek. Ktoś na miejscu dawnego krematorium znalazł dwie malutkie kosteczki ludzkie.

DOROŚLI I DZIECI W OŚWIĘCIMIU

Jeżeli objąć myślą ogrom przyśpieszonej śmierci, jakiej miejscem - niezależnie od działań wojennych - stały się tereny Polski, to obok zgrozy najsilniejszym uczuciem, jakiego doświadczamy, jest zdziwienie.

Uduszono i spalono te nieprzebrane masy ludzkie w trybie najstaranniej przemyślanej, zrationalizowanej, sprawnej i udoskonalonej organizacji. Nie wyrzekano się przy tym sposobów bardziej dowolnych, amatorskich, odpowiadających upodobaniom indywidualnym.

Nie dziesiątki tysięcy i nie setki tysięcy, ale miliony istnień człowieczych uległy przeróbce na surowiec i towar w polskich obozach śmierci. Oprócz szeroko znanych miejscowości, jak Majdanek, Oświęcim, Brzezinka, Treblinka, raz po raz odkrywamy nowe, mniej głośnie.

Ukryte pośród lasów i zielonych wzgórz, nieraz z dala od torów kolejowych, pozwalały na rozwinięcie systemów jeszcze bardziej uproszczonych i oszczędnych.

Tak znaleziono całe złoża umarłych, zagrzebane w Tuszyńku i Wiączyńcu pod Łodzią.

Tak wystarczył jeden stary pałac w Chełmnie, położony na wzgórzu, z przepięknym widokiem na rozkołysany trawami i zbożami krajobraz, jeden na pół zrujnowany spichrz, jedna w pobliżu rozległa, ściśle oparkaniona parcela młodego sosnowego lasu, by osiągnąć cyfrę ofiar sięgającą miliona.

Wystarczył mały czerwony budynek z cegły obok Instytutu Anatomicznego we Wrzeszczu pod Gdańskiem, by z ludzi zamordowanych wytapiać tłuszcz na mydło, a skórę ich garbować na pergamin.

Żydom aresztowanym we Włoszech, w Holandii, w Norwegii i w Czechosłowacji Niemcy obiecywali doskonałe warunki pracy w obozach Polski, uczonym zapewniano stanowiska w instytutach badań naukowych. Pewnej grupie Żydów darowano na własność bogate polskie miasto przemysłowe Łódź. Przy tym zalecano im, by zabierali ze sobą tylko rzeczy najcenniejsze.

Gdy transport więźniów przybywał na miejsce przeznaczenia, ludzie wysiadali z wagonów na jedną stronę toru, walizki zaś zrzucano w wielkie stosy po stronie przeciwnej.

Ponadto w blokach mieszkalnych kazano im się wszystkim rozbierać przed wejściem do łazienki i ubrania starannie złożyć. Gdy stamtąd wyszli, nikt z nich ubrania swego nie odnalazł. Jednych wpędzano prawie nagich do komory gazowej lub do hermetycznych samochodów, w których podczas jazdy do krematorium dusili się gazem spalinowym. Inni

otrzymywali w zamian łachmany, w których prowadzeni byli do pracy.

Jak w innych obozach, i w Oświęcimiu gromadziły się całe składy ubrań wełnianych, obuwia, kosztowności, przedmiotów osobistego użytku. Naładowane towarem pociągi odchodziły do Rzeszy. Brylanty zdemontowanych pierścieni wywożono w zakorkowanych butelkach. Wagonami szły całe skrzynie okularów, zegarki, puderniczki, szczoteczki do zębów - wszystko miało swoją wartość.

Utylizowanie spalonych kości na nawóz, tłuszczu na mydło, skóry na wyroby skórzane, włosów na materace - to był już, tylko produkt uboczny tego olbrzymiego przedsięwzięcia państwowego, przynoszącego w ciągu lat nieobliczone dochody.

Ta stała dywidenda płynęła z ludzkiej męczarni i ludzkiego przerażenia, a także z ludzkiego upodlenia i zbrodni, i stanowiła - istotną ekonomiczną rację całej imprezy obozów. Ideologiczny postulat wytracenia ras i narodów służył temu celowi, stanowił je-| go usprawiedliwienie.

Od więźniów, powracających teraz do Polski z obozów niemieckich, z Dachau i Oranienburga, dowiadujemy się nowych szczegółów, które uzupełniają naszą wiedzę o faktycznym stanie rzeczy. Okazuje się, że w Rzeszy całe zastępy specjalistów zajmowały się rozpruwaniem ubrań i obuwia zwożonego z obozów polskich do centrali. W szwach odzienia, w podeszwach i pod obcasami trzewików znajdowali oni mnóstwo zaszytych złotych monet. Nie darmo po śmierci Himmlera odkryto schowane w jego siedzibie pod Berchtesgaden setki tysięcy funtów szterlingów w dewizach dwudziestu sześciu państw.

Przy zapoznaniu się z niezwykle zjawiskiem Oświęcimia - zarówno na zasadzie materiału, który przyniosły zeznania świadków, jak przy naocznych oględzinach miejsca dramatu - uderza fakt bardzo celowego przystosowania systemu i urządzeń tego obozu do zadania mającego charakter dwojaki: polityczny i ekonomiczny, można by rzec - idealny i praktyczny.

Zadaniem politycznym było uwolnienie pewnych terenów od ich mieszkańców, by terenami tymi wraz z ich naturalnym i kulturalnym bogactwem niepodzielnie zawładnąć. Zadaniem ekonomicznym było, aby samo przeprowadzenie tego zamierzenia nie tylko nie przyniosło uszczerbku, nie powodowało żadnych kosztów, ale na odwrót: aby stało się zarazem źródłem, z którego można ciągnąć zyski - po pierwsze w postaci wykonanej przez więźniów pracy dla fabryk przemysłu wojennego, po drugie w naturze, to jest majątku zagarniętym po zmarłych.

Tak zamyślona i zrealizowana impreza była dziełem ludzi. Oni byli jej wykonawcami i jej przedmiotem. Ludzie ludziom zgotowali ten los.

Jacyż byli ci ludzie?

Przed Komisją Badania Zbrodni Niemieckich przesunął się szereg byłych więźniów obozu, ocalałych od śmierci wbrew wszelkiej nadziei. Byli między nimi ludzie nauki, politycy, lekarze, profesorowie, stanowiący chlubę swoich narodów.

Każdy ocalał jeden spośród swoich najbliższych, każdy dowiedział się o śmierci swoich rodziców, swej żony albo dzieci. Ocaleni, wcale na to nie licząc.

Doktor Mansfeld, profesor uniwersytetu w Budapeszcie, powiedział: „Tylko dlatego mogłem to przeżyć, że ani przez chwilę nie wierzyłem w ocalenie. Gdybym oddawał się złudzeniom, nie miałbym tego moralnego spokoju, który zachował mnie przy życiu”.

Zadaniem tych ludzi w obozie było niesienie pomocy innym wówczas, gdy sami co dnia ocierali się o śmierć, gdy na równi z innymi podlegali wszelkim odmianom udręczenia. Jako lekarze byli Niemcom potrzebni w obozie, to dawało im pewne możliwości ratowania ich ofiar.

Tak doktor Grabczyński, z Krakowa, objąwszy blok Nr 22, miejsce mordy i postrach kierowanych tam na „wykończenie” chorych, przeobraził go w szpital prawdziwy. Nie tylko otoczył ich opieką jako lekarz, nie tylko wyjednał dla nich lekarstwa i środki opatrunkowe, ale podstępem bronił ciężko chorych od zagazowania, ratował ich życie, zapewniając, że w ciągu pięciu dni będą zdrowi.

Ale i ci, którzy własnymi rękami wykonywali ten precyzyjny plan mordy i grabieży, byli także ludźmi. I ludźmi byli ci, którzy rozszerzali ramy rozkazów, którzy mordowali ponad przepisaną normę z amatorstwa.

Ze świętych pod względem plastyki zeznań posła Mayera, który dwanaście lat swego życia spędził w obozach niemieckich, mamy pojęcie, jak wyglądali oprawcy z Oświęcimia.

Największym zbrodniarzem w obozie był August Glass, krępy i muskularny, przechadzający się co dnia po blokach kolebiącym się krokiem atlety. Ten upatrzone ofiary bił w nerki w ten sposób, żeby nie zostawić śladów, a śmierć następowała po trzech dniach.

Inny stawiał stopę na gardle człowieka i miażdżył mu krtań swym ciężarem.

Inny zanurzał głowę więźnia w kadzi, tak długo ją trzymając, póki nieszczęsny się nie udusił.

Jeden z najbardziej krwiozerczych blokowych, zawodowy złoczyńca, był bardzo wymagający przy apelu i za niedokładne wyczyszczenie ubrania lub butów uderzał gumą, zakończoną ołowiem, po głowie tak celnie, że na miejscu zabijał. Zależało mu na tym, by mieć na dzień piętnastu zabitych.

Jeszcze inny, wysoki na dwa metry, o długim nosie, długiej twarzy i wąskich oczach,

z poruszającą się na szyi grdyką, z bardzo długimi rękami - codziennie tymi rękami dusił przed śniadaniem kilku więźniów, wybierając ich sobie na oko w różnych blokach podczas porannej przechadzki.

Niewątpliwie byli to ludzie, którzy mogli to robić, ale robić tego nie musieli. Zawczasu jednak uczyniono wszystko, by wydobyć z nich i uruchomić te siły, które drzemiały w podświadomości człowieka i które - nie zbudzone - mogłyby nigdy nie dojść do głosu.

Nadzwyczaj staranna selekcja i dobrze obmyślane systemy wychowawcze dostarczyły tego jedynego w dziejach zespołu ludzkiego, który odegrał do końca wyznaczoną sobie rolę.

Z zeznań posła Mayera wiemy, że w stadium początkowym partia Hitlera powiększała swój stan czynny, werbując sobie wyznawców spośród szumowin społecznych. Byli tam przestępcy, mordercy i złodzieje, byli sutenerzy. Wychowanie nazistowskie otaczało ich wrodzone instynkty szczególną pieczę. Świadczy o tym wydana w Niemczech ustawa specjalna, wzbraniająca komukolwiek zarzucania członkom partii ich osobistej przeszłości. Wielu ludzi za przekroczenie tego zakazu siedziało w więzieniach.

Według zeznań profesora psychiatrii w Pradze, doktora Fischera, na specjalnych kursach, często dwuletnich, gdzie szkolono młodzież hitlerowską, odbywały się praktyczne ćwiczenia sadystycznego okrucieństwa.

Tenże profesor Fischer, wieloletni rzeczoznawca sądowy, twierdzi, że sadyzm w najmniejszym stopniu nie zmniejsza odpowiedzialności przestępców. Są to wszystko ludzie świadomi swych czynów i ponoszący za nie całkowitą odpowiedzialność.

Dzieci w Oświęcimiu wiedziały, że mają umrzeć. Do uduszenia w gazie wybierano mniejsze, nie nadające się jeszcze do pracy. Selekcji dokonywano w ten sposób, że dzieci przechodziły kolejno pod pręt zawieszonym na wysokości jednego metra i dwudziestu centymetrów. Świadome powagi chwili, te mniejsze, zbliżając się do pręta, prostowały się, stapały wyprężone na palcach, by zaczepić głową o pręt i uzyskać życie.

Okolo 600 dzieci, przeznaczonych na uduszenie, trzymano w zamknięciu, nie mając jeszcze kompletu potrzebnego do wypełnienia komory. Też wiedziały, o co chodzi. Rozbiegały się po obozie i chowały, jednak SS-mani zapędzali je z powrotem do bloku. Słychać było z daleka, jak płakały i wołały o ratunek.

- My nie chcemy do gazu! My chcemy żyć!

Do jednego z doktorów zastukano nocą w okno jego lekarskiego pokoiku. Gdy otworzył, weszło dwóch chłopców zupełnie nagich, skostniałych na mrozie. Jeden miał dwanaście, drugi czternaście lat. Udało im się zbiec z samochodu w chwili, gdy podjeżdżał do komory gazowej. Lekarz ukrył chłopców u siebie, żywił ich, zdobył dla nich ubranie. Na

zaufanym człowieku przy krematorium wymógł, że ten pokwitował odbiór dwu trupów więcej niż otrzymał. Narazając się każdej chwili na zgubę, przechował u siebie chłopców do czasu, gdy mogli znów ukazać się w obozie nie wzbudzając podejrzeń.

Doktor Epstein, profesor z Pragi, przechodząc ulicą między blokami oświęcimskiego obozu w pogodny poranek letni, zobaczył dwoje małych dzieci jeszcze żywych. Siedziały w piasku drogi i przesuwwały po nim jakieś patyczki. Zatrzymał się przy nich i zapytał:

- Co tu robicie, dzieci?

I otrzymał odpowiedź:

- My się bawimy w palenie Żydów.

Wiosna - lato 1945 r.

POSŁOWIE

Oto dwa zapisy sprzed lat z górą trzydziestu. Pierwszy poczyniono 7 maja 1944 roku, w czasie wędrówki po warszawskim cmentarzu, pod chmurą nalotów: „Wracałam aleją grobów, szpalerem nagromadzonych trupów. Znajome nazwiska, sylwetki, medaliony. I refleksja druga z lipcowego dnia owego roku 1944, czasu powstania warszawskiego, kiedy nadchodzą już dni ostatecznej walki, zbliża się ofensywa, lecz finał nie wiadomy: „Ludzie ludziom gotują ten los. Ludzie są wszystkim na świecie i niezależnie od swej wartości, niezależnie od swych do tego tytułów - tylko ludzie stanowią o rzeczywistości”.

Dobyłem tych kilka zdań z *Dzienników czasu wojny* Zofii Nałkowskiej (wyd. I Warszawa 1970). Uczyniłem tak, gdyż pierwsze jej spostrzeżenie zapowiada tytuł tomu prozy, który wydała w roku 1946, wcześniej, już kilka miesięcy po wyzwoleniu powierzając kolejne nowele prasie literackiej. Druga refleksja pisarki zapowiada zdanie, jakie znajdziemy w przesłaniu *Medalionów*, w formule cytowanej setki i tysiące razy: - „ludzie ludziom zgotowali ten los”.

Medaliony. Zaledwie kilkanaście stroniczek prozy jedynej w swojej ostatecznej ascezie. Prozy o dniu zwykłym szalonego koszmaru. O mechanizmach mordowania człowieka i o zabijaniu jego nadziei. O technice ludobójstwa. O przekraczaniu granicy tego, co ludzkie. Kilka medalionów nagrobnych, które ocaleni zwierzają żyjącemu światu. Mówią w imieniu własnym. Mówią nieporadnie, nie dobywając słów właściwych - bo czyż są takie - dla pełnego opisu rzeczywistości ranionej faszyzmem. Mówią w imieniu milionów zgładzonych w obozach koncentracyjnych, dając świadectwo, nim jeszcze na obszarach ludzkiego popiołu stanęły muzea, mauzolea, pomniki. Nim zabrali głos sędziowie, naukowcy i pamiętnikarze, historycy, ludzie filmu i sztuki.

W roku 1947, w tygodniku „Odrodzenie”, pisał Kazimierz Wyka: „Skromny w rozmiarach tom Zofii Nałkowskiej jest tak uderzającym zjawiskiem pisarskim, że zmusza krytyka, by najpierw wyzwolił się od sądu: cóż to za wspaniała książka! Tych kilkadziesiąt stron oszczędnej prozy, tak ściśliwej i zwartej, jakby wydobytej spod prasy wszelkich ciśnień obozowej grozy, to na pewno najbardziej wartościowy artystycznie i przejmujący moralnie dokument przeciwstawiony tej grozie przez nowe piśmiennictwo powojenne”.

Dzisiaj czytamy *Medaliony* i pamiętamy obozową nowelistykę Tadeusza Borowskiego, *Apel* Jerzego Andrzejewskiego, film *Ostatni etap* Wandy Jakubowskiej, znamy literaturę martyrologii, buntu i cierpienia, której ostatnie ogniwa to dzieła pisarzy nowszych

już generacji - wiersz Wisławy Szymborskiej *Obóz głodowy pod Jasłem* czy powieść Tadeusza Nowaka *Takie większe wesele*. Mamy na podorędziu dziesiątki pamiętników i dokumentów, a czas *Medalionów* stał się czasem historycznym. Jak zatem dzisiaj w perspektywie naszej bogatszej niż wówczas wiedzy i jak z oddalenia czasu widnieje rysunek prawdy i artyzm *Medalionów*?

Tego, kto zna twórczość wcześniejszą Nałkowskiej, choćby jej *Granicę*, zastanowi całkowita odmiana stylu. Nie ma już echa młodopolskiej liryki. Jest zdanie protokołu zwięzłe, najkrótsze. Czytelnik zostaje powołany na świadka i komentatora. Ten, kto poznał wspomniane *Dzienniki czasu wojny*, porówna obraz osobistych przeżyć pisarki, jej widzenia wojny i okupacji z krótkimi komunikatami, jakie zapisała Nałkowska - członkini Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich. Tutaj jedno tylko porównanie i jedno źródło tekstu. W *Dziennikach* mamy opis wizyty na cmentarzu i refleksję: „Czym jest naprawdę to, w czym żyjemy, dowiemy się później. Wojna, jak rewolucja, rozpada się na poszczególne zdarzenia zachodzące w różnych odległościach, w niejednakowym stanie skupienia, niejednakowo i niejednocześnie widziane. Szerokość ulicy albo grubość murów, albo inna dzielnica odgradza nas na razie od rzeczywistości, oszczędza nam jeszcze jej grozy. Spieszmy się, żeby zdobyć pieniądze na zakup albo żeby zdążyć do tramwaju. A tam już oni stoją - z zawiązanymi oczami, ze skrepowanymi z tyłu rękami, z ustami zakneblowanymi gipsem i czekają, aż hukną strzały, które będziemy słyszeć aż tu” - w *Medalionach* znów miejsce zmarłych - w *Kobiecie cmentarnej* wniosek: „Rzeczywistość jest do zniesienia, gdyż jest niecała wiadoma. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji”.

Nałkowska pisała *Medaliony*, kiedy wiedziała już dobrze, czym było naprawdę to, co stworzył hitleryzm i faszyzm. Tej pisarskiej wiedzy nie posiadają bohaterowie. Pisarka nie koryguje ich zwierzeń, gdyż widzi całą prawdę sytuacji, w których jednostce nie dostawało wyobraźni dla zrozumienia roli, w jakiej się znalazła. W losach postaci *Medalionów* nie ma nic nadzwyczajnego. To zdanie brzmi niczym ostateczne oskarżenie. Takie były losy tysięcy i milionów w sytuacjach, które drastycznie niszczyły wszelkie pojęcia o człowieku - istocie rozumnej. Kiedy „człowiek jest mocny” znaczyło: jest zdolny jeszcze do pracy przy trupach i dlatego zostanie chwilowo ułaskawiony. Kiedy, jak w obrazie z *Dna*, sam oprawca stawał nagle przerażony swoim dziełem. Kiedy wybitny patolog, profesor Spanner, z narzędzia nauki stwarzał narzędzie naukowo kontrolowanej i „odkrywczej” zbrodni. Kiedy, jak w *Kobiecie cmentarnej* życie, strach i obawa przed innymi czyniły morderstwo aktem „miłosierdzia”. Kiedy, jak w *Dwojrze Zielonej*, ofiara wybierała obóz ponad rzeczywistość poza drutami: „Jak mam umrzeć - mówi Dwojra - to wolałam umrzeć razem z nimi, nie sama. No to

poszłam do Majdanka. Tam dawali chleba bardzo mało. I trochę zupy o dwunastej”.

Jest bardzo znany obraz Rembrandta *Lekcja anatomii doktora Tulpa*. Otóż oglądając w Profesorze Spannerze sale ze zwłokami pomordowanych wyobrażamy sobie „lekcję anatomii profesora Spannera”. To porównanie czyni jawnym odległość, która dzieli tryumfujący humanizm i poszukiwanie prawdy o człowieku od walczącego przeciw prawdzie o nim mordercy z cenzurem.

Wilhelm Mach, równie wybitny co Kazimierz Wyka znawca i admirator pisarstwa autorki *Medalionów* pisał w roku 1954: „*Medaliony*, prawdziwe dzieło sztuki, dzieło wielkiego pisarstwa, obezwładnia piszącą dłoń krytyka... Fakty, tylko fakty. Od nich i tylko od nich wiedzie w tej książce droga do ostatecznych konkluzji, zebranych w ostatnim rozdziale. Ten ostatni rozdział dodała pisarka jakby w przekonaniu, iż faktom nie da wiary czytelnik, jeśli sam nie przeżył. Wyjawiała sytuacje i osoby, które portretowała, którym oddawała głos. Dodała rozdział *Dorośli i dzieci* w Oświęcimiu, jakby w niepewności, czy nie zostanie posądzona o spotęgowanie sytuacji nieludzkich, o ich tendencyjny wybór. I takie sytuacje siłą artyzmu stworzyła potężniejszymi. Osiągnęła również milcząc i dziwiąc się osobom i sytuacjom coś niezwykle trudnego do osiągnięcia - mądrą tendencyjność. Pisał Wilhelm Mach: „Oceny etyczne Medalionów wyprowadzone z dowodu nieodpartego, zawarła pisarka w wymowie najtrudniej przez sztukę osiągalnej - w milczeniu. Ale milczeniu takim, które czytelnik musi zapełnić potrzebnym słowem”.

Powiała krytyka: Bohaterowie Nałkowskiej są ludźmi nie mającymi wyobraźni ogarniającej mechanizm, jaki stworzył kolonię karną dla milionów. I o pisarce samej: to zastanawiająca książka „człowieka przedwojennego”. Trzeba dodać: i dla pisarki wojna stanowiła wielką lekcję wyobraźni. Sięgnijmy ponownie do *Dzienników czasu wojny*, gdyż tam są źródła, które skłoniły Nałkowską już w pierwszych dniach wolności do działania i do pisania. Pisarka rozpoczyna notatki mając w pamięci pożogi pierwszej wojny światowej. Lecz tamte wspomnienia szybko okażą się jałowe. Nałkowską pozna życie powszednie i ludzi, których opisywała w *Granicach*. Sama podejmuje pracę w małym sklepiku. Dozna śmierci najbliższych i bliskich - matki i przyjaciół. Zrozumie całą złudę pocieszania, jaką daje literatura - zstąpić musi na ziemię faktów: „Leżeliśmy w bruzdach kartofliska tuż niemal przy ostrzeliwanym torze. Pierwszy raz byłam tak blisko nagiej ziemi, cała ubabrana w kurzu i czułam, czego dotąd tylko czytałam opisy, jak serce bije mi o ziemię”. Poznaje czas, kiedy ludzie znikali nagle na długie dni i tygodnie, ani żywi, ani umarli. Nieobecni. Gdy inny człowiek mógł dać ocalenie albo zagładę. W *Przy torze kolejowym*: „Gdy się rozwidniło, kobieta ranna w kolano siedziała na zboczu rowu kolejowego, na wilgotnej trawie. Ktoś

zdołał uciec, ktoś dalej od toru, pod lasem, leżał bez ruchu. Uciekło kilku, zabitych było dwóch. Ona jedna została tak - ani żywa, ani umarła”.

Niewiele istnieje w nowelistyce światowej równie lakonicznych protokołów sytuacji zwykłych i zarazem ostatecznych zapisów porażenia umysłu ludzkiego (to *Profesor Spanner*), (to *Dwojra Zielona*) i ocalania wartości. Z rozmów przeprowadzonych przez pisarkę, ówczesnego pracownika Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich, z tomów protokołów i dokumentów, spisywanych rękami funkcjonariuszy zbrodni, stworzony został rodzaj testamentowego przesłania dla żywych. Każdy medalion odsłania tragedię jednostki i dramat powszechny. Ma autentyczne poświadczenie i symboliczną godność.

Medaliony są od chwili pierwszego wydania, zatem przez lat ponad trzydzieści, lekturą klasyczną, dedykowaną wszystkim. Proza o nieprzedawnionej mocy artystycznej. Jak nieprzedawnione są wyroki życia przeciw jego oprawcom.

Zofia Nałkowska oddaje głos rzeczywistości apokaliptycznej, w zwyczajnym, praktykowanym dzień po dniu i miesiąc po miesiącu, rok po roku - okrucieństwie. Nieważne imiona świadków, ich rodowody i okoliczności marszu między druty. Ważne jedynie głosy. Wielki monolog prawdy. Zdania, gdzie szept jest wewnętrznym krzykiem. Gdzie dowody ludzkiego porażenia i zdziwienia możliwościami wyroku skazującego ludzkość, doświadczenia człowieka, unicestwiania jednostki.

Cmentarz *Medalionów* otwiera inskrypcja: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Brzmi w niej przerażenie, niepomierne zdumienie, które przecież nie wiedzie w rozpacz, w zatrącenie wiary ludzkim możliwościom i moralnej naturze świata. Skłania do wystawienia świadectwa prawdzie. Prawdzie o zbrodni i mechanizmie faszyzmu, o twarzy człowieka-skazańca i o twarzy człowieka-kata. Prawdzie o potrzebie solidarności w alejach medalionów. Solidarności między żywymi, którzy słyszą jeszcze głosy zmarłych i wyznania ocalonych. Solidarności między świadkami tamtego czasu i tamtej nocy a nowymi pokoleniami.

Pod ostatnią datą *Dzienników czasu wojny* Nałkowska zapisała: „To co nadciąga, będzie naturalnie bardzo burzliwe, bardzo w tutejszych warunkach odporne i trudne. Ale to, co było, minęło naprawdę, ten koszmar jednak się skończył. - Borejsza proponuje, bym była prezesem Komisji do badania zbrodni w Oświęcimiu”.

Medaliony spłacają ten nieustanny dług sztuki wobec życia, dowodząc prawdy zobowiązującej pisarskiego zwierzenia „tylko ludzie stanowią o rzeczywistości”. Stanowią poświadczenie moralnych powinności literatury, ocalają głos człowieczy z apokalipsy zamordowanej ciszy.

Michał Sprusiński